№ 15. Warszawa, dnia 12 Kwietnia (31 Marca) 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

NAUKA ZE SKUTKÓW.

„Wiele objawów poucza, że dla polaków w Austryi nadeszła chwila, rozpoczynająca okres ich politycznego upadku. Coraz częściej okazuje się, że oni nietylko przeszli zenit swego wpływu państwowego, ale że szybkimi krokami zbiegają na dół." Taką nowinę obwieszcza światu, przyjazna nam zresztą, *Wiener Allg. Ztng.* Nie sądzi ona, ażeby powód takiego zwrotu tkwił jedynie w nowym układzie stosunków zewnętrznych; „przycięto drzewa, ażeby — jak mówi przysłowie — do nieba nie wyrosły." O ile wszelka zmiana w roli galicyan, wypływająca z nowego związku międzypaństwowego byłaby zrozumiałą, o tyle owo stwierdzenie słuszności przysłowia ze zdrowym rozsądkiem się nie godzi i żadnej potrzebie nie odpowiada. Siła bowiem wpływu politycznego polaków w Austryi była tylko pozorną. Wybierano z pomiędzy nich ministrów, odznaczano orderami, zapraszano na bale dworskie, wskazywano jako podpory tronu — prawda, ale też w tej tylko sferze łask mieścił się ów „zenit," którego dosięgli. Że galicyjskie drzewa nie wyrosły do nieba, dowodem pełen kosz odmów rządu w wypadkach najważniejszych, dowodem sprawy: indemnizacyi, zarządu kolei, uregulowania rzek, banku włościańskiego itd. Co tu więc właściwie trzeba było „przycinać?" Galicyi pozwolono śpiewać swobodnie patryotyczne pieśni za cenę opróżnionych kieszeni. Z początku chętnie śpiewała, ale wkrótce spostrzegła, że wolność nędzy, że prawo umierania z głodu nie jest takiem dobrodziejstwem, jak się zdawało wyzwolonej z jarzma. Zaczęła więc prosić o rozmaite ulgi ekonomiczne, których jej systematycznie odmawiano. Była ona pod tym względem — jak przyznają nawet gazety niemieckie — najbardziej upośledzoną pasierbicą austryackiej macochy. Ten i ów płytki lub służalczy umysł mógł się cieszyć przekonaniem, że jeden rodak jest ministrem z teką, drugi — bez teki a trzeci przewodniczy Radzie państwa, że inni przy głosowaniu w parlamencie przechylają szalę zwycięstwa na stronę rządu, ale wszystkie te zaszczyty w oczach poważnie patrzących nie miały wielkiej wagi. Nareszcie pojął to żołądek, czego długo nie pojmował rozum. Zaczęło być w błogosławionej Galicyi głodno i chłodno, a gdy jeszcze wpływ u steru zmalał, dolegliwości u dołu przycisnęły dotkliwiej. Obecnie Galicya posmutniała, bo nie rządzi częścią Europy, a ma pustki w kieszeni.

Jeżeli więc jej drzewa nie wyrosły tak wysoko, czemuż traci w monarchii znaczenie — dyplomatyczne? Odpowiedzi na to pytanie, według nas, szukać właśnie należy w świeżej przemianie stosunków zewnętrznych — w nowych przymierzach. Bez trudu na wielu punktach dostrzedz możemy objawy pokrewne, które przypuszczać każą pewne porozumienie się. Jeden z dowodów. W r. 1882 rząd pruski wyjednał sobie od Izby władzę dyskrecyonalną w sprawach kościelnych. Na mocy tej władzy zrobił szereg ustępstw i między innemi zniósł w *całem* państwie t. z. prawo obroczne, wstrzymujące wypłatę księżom należnych im funduszów rządowych (prestacyj) oraz procentów od zapisów prywatnych. Tylko Poznańskie wyłączono z tej łaski, a gdy Koło polskie zainterpelowało rząd, minister wyznań odpowiedział krótko, że ograniczenia nie zniesie i przyczyn odmowy nie poda. Krótkość, a nadewszystko szorstkość tej odpowiedzi była tak uderzającą, że niemiecko-katolicka partya sejmu pruskiego wystąpiła z energicznym protestem i groźbą. Poznańczycy nie byli nigdy traktowani grzecznie, ale ta odprawa zdradzała już wzmocnioną nieprzyjaźń i wyraźny zamiar utrzymania ich w stanie wyjątkowym.

Wróćmy do Galicyi. Wspomniana gazeta niemiecka daje następującą radę: „Przysłowie powiada: mądry polak po szkodzie." I Koło polskie zatem winno dojść do przekonania, że ścisły związek z prawicą nie jest wcale mniejszym błędem, niż byłby z lewicą. Polacy nie potrzebowaliby utracić swojej samoistności i zupełnej swobody ruchów, a mogliby równie dobrze działać w interesie własnym, jak i austryackim." Nie odważymy się twierdzić, że to nowe małżeństwo byłoby dla galicyan korzystnem i bezpiecznem; to wszakże pewna, że oni zbyt bezwzględnie sprzedali się ultramontanom i feudałom, że pomagali im do przeprowadzenia ustaw, urągających najbardziej umiarkowanemu postępowi. Wskazywaliśmy przy szczegółowych wypadkach owoce tego sojuszu. Ostatecznie przedstawiciele Galicyi w Radzie państwa pozostali obrońcami najskrajniejszej reakcyi (stempel od gazet, nowela szkolna itd.). Prasa lwowsko-krakowska zmywała nieraz głowy swym deputatom, a nawet do tej operacyi zabrał się służalczy *Czas*. Obecnie jeden poseł (Zacharyewicz) złożył swój mandat, a dwa pisma *Gazeta narodowa* i *Kuryer lwowski* dają hasło do formalnej rewolucyi przeciwko Kołu polskiemu.

A zatem — z dwojga złego — związek z lewicą?

Na to pytanie niech odpowiedzą drobne partye parlamentów, które nie posiadając przewagi same przez się, umiejętnie i do czasu zawieranymi kompromisami bronią swoich interesów i zachowują swoją samoistność. Za przykład wreszcie (zawsze oni—nam!) służyć mogą czesi. Także przylgnęli dziś do prawicy, ale ona ich nie pochłonęła i musiała dawać rzetelne, nie dekoracyjne korzyści. W mozajce zaś, tworzącej Izbę wiedeńską i niedającej żadnemu stronnictwu hegemonii, Koło polskie stanowi

liczebnie poważny i dla innych partyj pożądany żywioł. Przyjaźń więc swoją mogłoby każdorazowo sprzedać drogo — za istotne dobrodziejstwa. Dotąd było jedynie przylepkiem, ogonem prawicy, ogonem biernym i o interesy swego kraju niedbałym.

Nie będziemy mu wskazywali szczegółowo dróg postępowania, zależnego od wielu nieznanych nam może warunków, ale zdaje się, że skutki same wskazały mu zasadę główną: wyzwolenie się z niewoli konserwatywno-klerykalnej i zajęcie samodzielnego stanowiska. Wtedy odzyska ono powagę i przewagę, wreszcie wpływ, który, mimo dobrej miny na złą grę, niewątpliwie zmalał. A utrata tego wpływu jest klęską, sięgającą po za granice Galicyi.

STARA SZTUKA.

Na mocy ustaw majowych rząd pruski zawiesił w kilku dyecezyach wypłatę t. z. prestacyj rządowych, t. j. pensyj biskupich oraz zapomóg dla księży. W Poznańskiem wynoszą one 200,000 m. rocznie. Gdy kanclerz otrzymał od parlamentu swobodę działania w tej sprawie—„zdawało się — jak obrazowo powiada ks. Jażdżewski — że rosa życzliwości spadać będzie w pełniejszej mierze na wypalone żarem walki kulturnej błonia dyecezyj katolickich.“ Tymczasem na Poznańskie „nie spadła ani jedna kropla. Jesteśmy — mówi tenże poseł — jak runo hebrajskiego bohatera Gedeona, które zupełnie suchem pozostało.“ Czyli, mówiąc prościej, rząd pruski władzy dyskrecyonalnej na korzyść Poznańskiego nie użył i zatrzymał na jego funduszach duchownych sekwestr, chociaż go w całem państwie zdjął.

Dlaczego? Takie pytanie zadał ministrowi wyznań w sejmie ksiądz Jażdżewski, na które p. Gossler wszelkich objaśnień odmówił. Ostry ton jego odpowiedzi był tak uderzający, że aż nawykły do twardych grzebieni parlament pod tą drucianą szczotką syknął. Polacy, jak zwykle, elegizowali, ale przywódca centrum rozwinął tę połę togi, w której kryje wojnę, a jeden z posłów (Krebs) pogroził nawet ministrowi pięścią. Widząc umizgi i solidarność wystąpień katolików niemieckich z polskimi, nie należy łudzić się zbyt serdeczną z pozoru między tymi dwoma żywiołami przyjaźnią, którą uniemożliwia sama różnica narodowości. Jeżeli więc p. Windhorst tak się ujął za ks. Jażdżewskim, to nie dlatego bynajmniej, ażeby głęboko odczuł krzywdy polskie, ale dlatego, że dostrzegł w ukryciu armatę przeciw całemu ultramontanizmowi nabitą. Powód jednak nie zmienia skutku dla poznańczyków pomyślnego. Chociaż bowiem nie osiągnęli celu, pozyskali sympatyę i przyczepili mocniej swoją sprawę do sił stronnictwa, które dla rządu pruskiego pozostaje ciągle groźnem. Wywodząc swoje żale, zwykle monologowali w sejmie, otrzymując tylko ze strony centrum jałmużnę w tanich liczmanach, rzucanych podczas przemówień: *sehr wahr* lub *sehr richtig*. Mieczów swoich ani p. Windhorst, ani Schorlemer-Alst nie wyciągali. Tymczasem interpelacya posła Jażdżewskiego pobudziła obu tych mężów do błyśnięcia przed oczyma ministra żelazem.

Widocznie p. Gossler przerachował się w efekcie swego oświadczenia, gdyż nawet przyjazne rządowi gazety zganiły jego szorstkość. Dla naprawienia skrzywionej taktyki *Nordd. Allg. Ztg.* wstawiła po raz setny w swe kolumny dawno złożoną i do tego rodzaju wypadków zawsze gotową denuncyacyę, że polacy grali na nadzieję wywołania wojny między Austryą, Niemcami i Rosyą, że zawiódłszy się na tej rachubie napadają rząd, że im, jako żywiołowi rewolucyjnemu, nie można... wypłacić funduszów duchownych. Już niemiecka *Germania* dosyć wydrwiła ten niedołężny dowcip gadzinowego języka — nie potrzebujemy go więc samodzielnie niecować. Wyliczyła ona bowiem, że skoro z 200,000 marek prestacyj 162,000 należy się arcybiskupowi i zarządowi dyecezyi, więc poznańczykom na koszta rewolucyi pozostałoby tylko 40.000, co jest oczywiście na tak wielkie przedsięwzięcie za mało. Powtóre zapytano p. Pindtera: gdzie to polacy spekulowali na wojnę Niemiec i Austryi z Rosyą? Czy raczej nie prasa berlińska siała ten wiatr, z którego nie wyrosła burza? Nawet krakowski *Czas*, który najdłużej wyczuwał w organizmie polskim raka rewolucyi i skutkiem tego nieraz się schodził z *Nordd. Allg. Ztg.*, usłyszawszy denuncyacyę, zawołał: „Faktem jest, że wobec pogłosek o oziębieniu stosunków między Rosyą i Niemcami, rozsiewanych zaiste najpierwej nie przez organa polskie, lecz kanclerskie, w całem społeczeństwie polskiem powstały nie nadzieje, lecz przedewszystkiem *obawa*, aby Królestwo Polskie, lub część jego nie została przyłączoną do Prus. To jedno jest zgodne z prawdą. I dlatego właśnie polacy *nie pragnęli*, ani oczekiwali jak zbawienia podobnej wojny, lecz że ona musiałaby się toczyć na ich ziemi i, że tak powiemy, na ich karku, liczyć się musieli z tą ewentualnością, zapowiadaną od kongresu berlińskiego, przez całą kanclerską kapelę.

Ks. Bismark, a za nim i jego organy, wpadają w gruby błąd, cosię tyczy polaków. Kanclerz bowiem sądzi społeczeństwo polskie, jakiem było i jakiem on je znał w 1863 roku, w chwili, w której błędami swoimi przyczyniło się ono tak wielce do jego wzrostu i powodzenia. Ignoruje z umysłu czy z nieświadomości wszystko, co potem nastąpiło, zwłaszcza wewnętrzną walkę moralną, którą to społeczeństwo stoczyło z samem sobą, i zwycięstwo, jakie nad swoimi nałogami i narowami odniosło.

I dlatego ks. Bismark mniema wciąż, że polacy dziś jeszcze czekają zbawienia lub polepszenia losu od obcych i od konstelacyj europejskich, wtedy, kiedy *rozczarowani najzupełniej w tej mierze*, liczą tylko na własną pracę spokojną, wytrwałą i legalną.“

Chyba to zapewnienie powinno wystarczyć, zwłaszcza, że dowodów obalających je brak — powinnoby wystarczyć, gdyby p. Pindter nie był najętym i obowiązanym do puszczania w obieg denuncyacyj, za które sam grosza by nie dał. Wobec tej jego powinności trzeba tylko przypomnieć to, co niedawno powiedział znany ekonomista i przyjaciel ks. Bismarka A. Wagner pod innym adresem: „Zwoźcie i znoście obelgi, usypcie z nich wielką górę, ale chociażby ona była najwyższą, nie dosięgnie szczytu naszej dla was pogardy.“ A jeżeli twórcy tego nasypu sądzą, że stoją wyżej, to niech sobie przypomną słowa drugiego ze swych znakomitych i sprawiedliwych rodaków: „Są ludzie, którzy przebywają na Czymboraso niegodziwości. Niepodobna ich dosięgnąć— zawsze mają racyę. Dowcip, który się do

---

²)

Anemiczna.

Słońce już zaszło. Szary zmierzch tem większą powagę i ciszę roztoczył dokoła smutnych świerków, w cieniu których kryły się gdzie niegdzie białe posągi i statuy, wzniesione ręką ludzką w miejscach, skąd sączyły się dobroczynne źródła, kołyszące teraz do snu przyrodę jednostajnym szmerem.

Wanda czuła się dziwnie lekką. Nie dokuczał jej w tej chwili żaden ból fizyczny, opadła nawet zwykła senność z powiek.

Włoch porównywał krajobrazy północne z południowymi, Wanda powoli wsłuchiwała się w jego mowę. Opowiedział jej swoje życie, życie awanturniczego południowca, któremu niedość było palących promieni słońca, spojrzeń i pocałunków rodaczek; który przebiegł skraje Afryki i dotarł do kolebki dalekiego Wschodu, nie mogąc zaspokoić żądzy ruchu i zmiany, jaka go parła ciągle naprzód...

Wreszcie, nim wstali z ławki, przysunął się tak blisko, że ramieniem trącał o jej ramię. Patrząc w oczy jej, osadzone głęboko, w twarz, odbijającą się od tła ciemnych świerków i zapadającego zmierzchu — szeptał ze zdwojoną miękością w głosie, że nie darmo paląca żądza tułactwa zagnała go aż na północ.

— Tu będzie kres moich podróży — dodał, pochylony nad nią tak, że wiatr muskał wargi jego jej włosami.

Chciał mówić jeszcze, lecz miarowy odgłos zbliżających się, powolnych kroków przerwał dalsze słowa.

Prowadzono pokutującego za błędy młodości, zniedołężniałego przedwcześnie starca, który, kaszląc i oddychając ciężko, spoczął na ustronnej ławce, skrytej w cieniu jarząbiny i paru skarłowaciałych dębów.

Wanda podniosła się, nieledwie omdlewając. Towarzysz mógł wziąść ją w tej chwili na ręce, jak dziecko i znieść aż na sam dół. Nie byłaby miała dosyć siły oprzeć się najniedorzeczniejszemu żądaniu z jego strony. Czuła dziwne odurzenie. Świeży wieczór sierpniowy wlewał w jej piersi falę orzeźwiającego powietrza: inaczej — byłaby mogła paść na ziemię, jak pijana.

Za dużo wrażeń nagromadziło się nagle w nerwach, którym brakło sprężystości.

Oparła rękę na ramieniu młodego wojskowego i szła, wiedząc, że iść musi.

Czegoś pragnęła; nie umiałaby jednak określić czego?

Wracali cokolwiek odmienną drogą. Wąska, ubita ścieżka, która kazała im iść tuż przy sobie, poprowadziła ich nie na samo wzgórze, lecz na mało wzniesienie, położone naprost szwajcarskiego domku, w którym dotąd jeszcze bawiono się ochoczo.

Na zakończenie uroczystości postanowiono ku uciesze gości puścić race i wzniecić ognie bengalskie.

Wanda, czując zmęczenie, nie mogła iść dalej i usiadła na niskiej, kamiennej ławeczce, okrywszy się szalem, gdyż drżała wewnętrznie. Włoch ucałował blade jej ręce: nie opierała mu się. Byłaby położyła głowę na jego ramieniu i zasnęła; musiała wciągać głęboko falę świeżego, wieczornego powietrza, aby znaleźć siłę do oparcia się tej dziwnej, chwilowej żądzy.

Milczeli teraz oboje, lecz w wyobraźni Wandy on mówił ciągle: słyszała jego głos i niemal dźwięk słów.

Rozpoczęto uwieńczenie uroczystości i puszczono pierwsze race.

Po rannej wilgotnej mgle powietrze tak było spokojne i czyste, że długie wężowe ognie ginęły w nieskończonej przestrzeni.

Puszczono kolejno młynki i świece, gasnące w próżni. Dokoła słychać było radosne głosy dzieci i szelest rozmowy starszych. Wreszcie mieniącym się różnokolorowym płomieniem oświetlono szwajcarski domek, gdzie dosyć jeszcze pozostało osób. Muzyka zagrała poważny hymn narodowy; kilka głosów przyłączyło się do dźwięków orkiestry, wtórując.

Różowo-fioletowy blask oblał siedzących wprost głównej galeryi Wandę i jej towa-

nich wspina, pada zmęczony u stóp góry i wyznaje ze wstydem, że kij lepszym jest, niż kopia."

Wspomniany dziennik krakowski otrzymuje z Wiednia następujący komentarz w tymże przedmiocie: „Autor artykułu owego, oraz jego inspirator wiedzą tak dobrze, jak my, że przed rokiem teorya o niepodobieństwie i nieużyteczności wojny między Rosyą a Niemcami nie znalazłaby była wstępu do łamów *Nordd. Allg. Ztng*. Nie brak ludzi, a może i dokumentów, nam naturalnie nieprzystępnych, w dowód i na świadectwo, że inne zupełnie przed rokiem panowały w Berlinie zapatrywania w tej mierze. Także i na to może wcale trudnyby nie był dowód, że nie polacy, ale kto inny popychał Austryę do wojny z Rosyą. Ale wilk silniejszy, więc jagnię mu mąci wodę, a siła starczy i służy za dowód.

Polacy za to bowiem pokutować muszą, że ten, co popychał właściwie do wojny, nie osiągnął celu swego. Bo w istocie rzeczy cała dzisiejsza zmieniona konstelacya zagraniczna jest wynikiem faktu, że się to nie udało, o co dziś tak nie słusznie posądza się polaków, bezkarnie, bo niema nikogo, coby pragnął i miał odwagę stanąć w ich obronie. Artykuł *Nordd. Allg. Ztng*. pod jednym względem ma swą dobrą stronę, bo pokazuje jawnie, że zagraniczna polityka niemiecka zrywa radykalnie z bliską jeszcze przeszłością, kiedy uchodziło za białe, co dziś jest czarnem. Złudzenia byłyby niebezpieczne. Związek dwucesarski między Wiedniem a Berlinem wprawdzie niewzruszony, ale otworzył swe ramiona dla uściśnięcia trzeciego przyjaciela."

Rzeczywiście—powtarza się bajka o wilku i jagnięciu. Trudno już nie znaleźć, ale wymyślić naród, któryby siedział potulniej i pracował spokojniej, jak właśnie polacy, którzy może są dziś najlojalniejszym żywiołem Europy. A jednakże ustawicznie są oni przedmiotem posądzeń o rewolucyjne knowania. Niegodziwa to złość, czy ślepa głupota? Oskarżeni, po każdym alarmie, badają swój dom, przepatrują wszystkie kąty i skrytki, czy gdzie nie pali się jakiś żar, który swądem czujne nosy podrażnił, czy nie zaczaiła się jakaś lekkomyślność lub szaleństwo? Nic — cicho, bezpiecznie. A Pindtery, widząc tę krzątaninę śmieją się w kułak z popłochu — *e pur si muove*. A niech tam się porusza! Cóż zrobić ludziom, którzy przebywają na Czymborasso niegodziwości!

Liber.

PODATEK GRUNTOWY.

W jednej z władz skarbowych, czy też rewizyjnych, podjęto myśl podwyższenia stopy podatku gruntowego dworskiego odpowiednio do klas ziemi, podanych przez jej właścicieli Towarzystwu kredytowemu.

Ta niepokojąca wiadomość obiegła wszystkie prawie nasze pisma peryodyczne, zwłaszcza zaś po kilkakrotnie rozbieraną była w organach własności większej. Jakkolwiek, zdaniem naszem, ostateczna decyzya w tej sprawie zależyć może tylko od władzy wyższej, i co tam postanowionem będzie, temu nie zapobiegną ani żądania naszych instytucyj gubernialnych, zarówno skarbowych, jak i obrachunkowych, ani rozprawy i skargi, przez prasę podniesione, pozwalamy sobie poczynić w tym przedmiocie kilka uwag z naszej strony, opartych na dość pewnych źródłach.

W r. 1864 jednocześnie z urządzeniem włościan w Królestwie polskiem, z woli Najwyższej postanowiono opłacone do tego czasu podatki dworskie: ofiarę, kontyngens liwerunkowy i inne pomniejsze zamienić na podatek gruntowy, którego rozkład na powiaty i oddzielne majątki miał być dokonanym odpowiednio do rzeczywistej ceny posiadłości ziemskiej, w różnych okolicach naszego kraju. Podług zasad, obmyślonych po wzajemnem porozumieniu się b. Komisyi rządowej przychodów i skarbu, władz Towarzystwa kredytowego, oraz osobnej komisyi podatkowej czasowej przy Komitecie urządzającym, postanowiono wszystkie grunty dworskie w Królestwie podzielić na pięć klas, a mianowicie: I) grunty pszenne i ogrody; II) żytne lepsze; III) łąki dwukośne; IV) łąki jednokośne; V) pastwiska, lasy itd. — oprócz nieużytków. Stopa podatku dla każdej klasy miała być w każdym powiecie oznaczoną stosownie do wartości przeciętnej gruntu, i podług tego ułożoną została taryfa podatku dla 84 powiatów Królestwa. Najwyżej opodatkowano łąki dwukośne, od rs. 1 kop. 42 do kop. 60 z morga, najniżej pastwiska, od kop. 13 do 5. Każdy właściciel obowiązanym został do złożenia objaśnień o ilości i jakości gruntów posiadanych; za niewłaściwą i niezgodną z rzeczywistym stanem deklaracyę zastrzeżona była w osobnej instrukcyi kara w ilości *podwójnej* opuszczonego podatku, lecz zastrzeżenie to do prawa obowiązującego nie weszło. Suma nareszcie ogólna nowo ustanowionej opłaty nie miała w żadnym razie przewyższać sumy płaconych dotychczas podatków dworskich, które wynosiły razem około 2,604,000 rs. A zatem miano na celu nie podwyższenie dochodu skarbowego, lecz tylko sprawiedliwszy rozkład podatku.

Tu nadmienić wypada, że podług rachunku, podanego wówczas przez Towarzystwo kredytowe, ogólna wartość całej posiadłości dworskiej w kraju naszym, obejmującej 11 milionów morgów z górą, wynosiła 260,700,000 rubli, czyli cały podatek gruntowy stanowić miał jeden procent jej wartości.

To nazbyt nizkie oszacowanie majątków dworskich dawało się w owym czasie usprawiedliwić przesileniem ekonomicznem, jakiemu one wtedy uległy skutkiem uwłaszczenia włościan i innych przyczyn chwilowych.

Projekt ustawy o podatku gruntowym przedstawionym został do Najwyższego zatwierdzenia za pośrednictwem Komitetu do spraw Królestwa Pols., który, zgodnie z opinią b. ministra skarbu Rejterna, zauważył, że dane o wartości przeciętnej gruntów w różnych powiatach, na których oparto taryfę podatku, były zbierane zbyt pobieżnie i wcale dokładnością nie odznaczały się. Dla tego przy rozpatrywaniu ustawy postanowiono samą taryfę do niej dołączoną zatwierdzić tylko *tymczasowo* na lat dwa. Po upływie tego czasu, Komitet urządzający miał ją przedstawić powtórnie do ostatecznej sankcyi, stosownie zmienioną i uzupełnioną. Otóż taryfa ta, pomimo tak wyraźnego zastrzeżenia, wcale zmienioną nie była, i dziś mniej jeszcze odpowiada przeciętnej wartości gruntów, aniżeli przed laty 18.

Podatek nowy wprowadzonym został z dniem 1-go stycznia r. 1866; istnieje więc już całkowitych lat siedemnaście. W przeciągu tego czasu bardzo wielu właścicieli, unikając odpowiedzialności, z własnej woli uwiadomiło władzę skarbową o omyłkach, wykrytych w deklaracyach pierwotnych,

---

rzysza. Niebieski galowy mundur austrackiego wojskowego odbijał smutnym kolorytem od czarnej sukni Wandy i od tła mrocznej przestrzeni.

— Co za interesująca para! — szepnął jeden z niemców drugiemu, wskazując ręką w stronę kamiennej ławki.

Usłyszała to młoda dziewczyna, stojąca obok nich wraz z matką i siostrą.

Mimowoli rzuciła wzrok w kierunku, w jakim patrzyli jej sąsiedzi.

Drgnęła lekko; zmarszczyła brwi; zacisnęła usta.

— Bruno zdaje się zrobił nową znajomość; ciekawa rzecz jak długo ona potrwa? — rzekła do siostry, ktora trąciła matkę, pokazując jej siedzącą parę.

Tymczasem o Wandę zaczęto się niepokoić na dobre. Pan Piotr biegał już kilka razy, aby ją odszukać, lecz wracał nie osiągnąwszy celu. Zły do wściekłości, bo na dobitkę uczuł rwanie w nogach, mówił właśnie do jednej z pań, że niebezpiecznie puszczać młodą dziewczynę po nocy sam na sam z zupełnie obcym człowiekiem i to jeszcze włochem.

— W lesie gęsto: wyżeł by ich nie wytropił, gdyby chcieli się gdzie ukryć — dodał, gotując domyślny wyraz twarzy, gdy w tem powierniczka jego przypuszczeń ruchem głowy kazała mu spojrzeć przed siebie.

Nie zdołano jeszcze skończyć granego hymnu, gdy, zdyszany, spocony, czerwony, kulejąc na jedną nogę, stanął przed Wandą i oznajmił, że matka gniewa się na nią za „błądzenie po nocy."

Wanda wstała w milczeniu i skierowała się najbliższą ścieżką ku górze.

Była tak zmęczona, że obaj towarzysze musieli ją podtrzymywać, aby nie upadła po drodze.

Twarz jej na tle nocy w tej chwili przypominała białą, delikatną kameę.

Matka rzeczywiście była niespokojna o nią, lecz nie ze względów, przypuszczalnych przez pana Piotra. Chodziło jej, aby wypieszczona jedynaczka nie uległa przeziębieniu przy powstającej chłodnej rosie.

Włoch całą winę zbyt długiej przechadzki przyjął na siebie. Przy pożegnaniu szepnął do Wandy:

— Gdybym mógł wśliznąć się jak cień, do pokoju pani, nimbyś zasnęła, wypiłbym z twoich ust powietrze, którem oddychasz...

Wanda przez całą noc nie zamknęła powiek; jak majaczenie, plątały jej się w myślach ostatnie słowa włocha. Ruszały się, dźwięczały po nerwach łagodnem, falistem brzmieniem. Leżała z otwartemi oczyma, nie czuła zmęczenia, ani bólów fizycznych.

Kilka dni temu przechodziła koło klombu pełnego heliotropów, odurzająca woń dusiła wówczas jej oddech. Naraz wydało jej się teraz, że pokój pełen tego samego zapachu, który ściska jej gardło.

Przez otwarte, stosownie do kuracyjnego przepisu, okna, wpływały tylko fale zdrowego sierpniowego powietrza: kwiatów przed domem nie było zupełnie.

Ogarnęła ją trwoga. Umysł snuł dalej halucynacye.

Z za rogu szafy wyjrzała postać włocha i powolnym krokiem sunęła się ku niej.

Ona zamknęła oczy; na piersi spadł jej strach. Chciała zawołać na matkę, lecz bała się własnego głosu.

Z szarym rankiem przyszła posługaczka kąpielowa, zawinęła ją w koc i zostawiła tak na parę godzin. Gdy krew zaczęła się rozgrzewać stopniowo, Wanda zasnęła. Szmer wanny, suniętej na kółkach po podłodze, obudził ją lekkim dreszczem.

Tego dnia straszyło ją z początku wszystko; nie chciała iść do lasu.

Podniecona, czuła w sobie niepokojący ruch; zdawało jej się, że „wczoraj" nie wróci, „dziś" będzie szare, brudne, zamglone. Byłaby wolała roztapiać się w ciszy wspomnień. Tymczasem matka wyprowadziła ją gwałtem.

Powieki i wargi dziewczyny drgały nerwowo, gdy wchodziła w aleję, w której, spotykała zawsze młodego włocha, zanim go jeszcze poznała.

I teraz dostrzegła go zdaleka.

Zbliżył się z uśmiechem i zaczął rozmowę na wesoły temat.

a nawet z decyzyi ministra skarbu tym, którzy dobrowolnie o takich omyłkach donosili, przyznawano pewne ulgi w obliczaniu za przeszłość opuszczonego podatku.

Lecz niezależnie od omyłek wykrytych w przeciągu tak długiego okresu stan gruntów mógł uledz zmianom na lepsze skutkiem poprawy całego stanu ekonomicznego majętności ziemskich; przez wycięcie lasów (objaw niezawsze to był dodatni) przybyła znaczna ilość przestrzeni ornych i łąk, wiele nieużytków zamieniono na rolę. Było to zjawisko nieuniknione, a nawet w części prawnie przewidziane, gdyż w art. 13 ustawy o podatku gruntowym dworskim zastrzeżono, iż nowe ogólne jego rewizye mają odbywać się wskutek oddzielnych rozporządzeń rządu w terminach do tego wyznaczonych.

(D. n.).

LUDZIE I HYENY.

Rozpatrywałem się z ciekawością wielką w ilustracyach *The Illustrated London News*. Nikt się temu zapewne dziwić nie będzie. Świetne a od niechcenia rzucane rysunki, które to pismo zdobią, zasługują na rozpatrywanie. Nie świetność ich atoli mnie zajmowała, ale treść—przedstawiająca w całej nagości prawdy walkę, jaką w czasie obecnym toczy Anglia w Sudanie. *The battle Field of El-Teb* jest przedmiotem, któremu poświęcono miejsca najwięcej. Tu rysunek przedstawia piechotę angielską w czworobok sformowaną, przyjmującą ogniem szaloną jazdy arabskiej szarżę; tam piechota angielska do ataku idzie na wały; owdzie, w łańcuch tyralierski rozsypana, posuwa się naprzód śród krzewów i chwastów; owdzie jazda, szablami osłonięta, rwie z kopyta, roztrąca i wywraca przeciwnika; na innej znów stronicy widać artyleryę angielską w boju, na innej majtków operujących po swojemu. Obrazki te, oddane z prawdą, wzbudzają interes szczególny w tym, co je ogląda, zwłaszcza gdy wiemy, że żołnierz angielski jest na kuli ziemskiej najlepszym. Wygląda on w walce tak, jak go artysta przedstawił, swobodnie, spokojnie, nie troszcząc się o to, co go spotkać może, nie bacząc na nic, prócz na pełnienie powinności, tej wielkiej cnoty, dzięki której anglicy dokonali rzeczy olbrzymich. Tak—widok tego żołnierza idącego, w poczuciu powinności, na śmierć z krwią zimną, rzucającego się na bagnety z krwią zimną, wykonywującego szarżę jazdy z krwią zimną, walleczniejszego od najwaleczniejszych na zimno, widok żołnierza takiego nietylko jest zajmującym, ale zadziwiającym. Zjawisko to, w rodzaju swoim osobliwe, ma przyczyny psychiczne, zasługujące na to, ażeby je kto zbadał, wyjaśnił i wytłomaczył. Nie dość powiedzieć, że tak jest; potrzebaby powiedziedzieć jeszcze, dlaczego jest tak a nie inaczej: czemu tak samo walecznymi na zimno nie są francuzi, włosi, niemcy?

Wspominam o zagadce tej mimochodem, mam bowiem do wytoczenia na stół inną również zagadkową kwestyę.

Zaznaczyłem na obrazkach anglików. Nie oni sami jedni atoli na nich figurują. Oni przedstawiają tylko połowę akcyi, rozgrywającej się pomiędzy nimi, a przeciwnikami ich—arabami. Te kolumny piechoty, te hufce jazdy, te baterye grzęznącej w piasku pustynnym artyleryi, zwrócone są przeciwko kolumnom, hufcom, bateryom, złożonym z ludzi, broniących ognisk swoich domowych, swojej swobody niewoli, swego marzenia o podboju świata, swego barbarzyństwa i, przy tem wszystkiem, wolności handlu niewolnikami. Obrońcy ci przedstawiają się nędznie—zgoła nie tak, jakby ich można wyobrażać sobie, czytając wzmiankę w znanej *Dumie o Emirze*: „Śniąc o stepie i o zysku, arabowie spali, a kozacy przy ognisku“—etc. Przedstawiają się oni nędznie dlatego najprzód, że rysami oblicza wykazują rodzaj zajmujący w łańcuchu stworzeń miejsce pośrednie pomiędzy małpą a człowiekiem — brzydcy są nad wyraz wszelki, a powtóre dla tego, że do boju stają nago. Szeikowie ich tylko, wodzowie, prorocy okrywają się burnusami i obwijają zawojami. Bojownicy występują tak, jak biblijny praojciec rodzaju człowieczego przedtem, nim Ewa jabłko skosztowała: nic na głowie, nic na nogach, nic na grzbiecie—okrywają tylko uda nieco. Szeregują się w hufce w tych mundurach, w jakich z łona matek na świat wyszli.

Na jednym z obrazów taką widzimy scenę. Arab nagi, z tarczą w ręku lewem, z dzidą w prawem, rzuca się na anglika, który piersi jego na cel wziął. Nie wątpliwym jest wypadek pojedynku. Arab zginie — inaczej być nie może. Spółziomek Darwina zabije z krwią zimną bezbronnego wyznawcę proroka, słuchającego słów natchnionych, które Mahdi głosi. Starcie natchnienia z powinnością wypadnie na korzyść tej ostatniej, przyzwoicie odzianej i w broń palną udoskonaloną zaopatrzonej. Szalona dzieci pustyni odwaga nie przyda się na nic. Wyginą ci barbarzyństwa obrońcy; ciałami swojemi piaski pustynne okryją; co się zaś z ciałami ich stanie, wskazuje rysownik jakiś niemiecki, przedstawiający: „Pole bitwy pod El-Teb w nocy.“ Pod obrazem tym nie potrzeba jak pod jednym z obrazów Grottgera, podpisywać zapytania: „Ludzie, czy szakale?“ Ludzie nie tam do czynienia nie mają. Na wojownikach poległych do obdarcia nic pozostaje nic innego, tylko mięso. Księżyc rzuca światło niepewne na pobojowisko, okryte trupami, pomiędzy którymi uwijają się hyeny *in natura* — szarpią, rozkoszują się. Toż uczta dla nich! Sporządziła im ją cywilizacya, występująca pod El-Teb w osobie narodu, przodującego wszystkim innym na drodze rozwoju cywilizacyjnego.

Cywilizacya zastawiła ucztę hyenom.

Tak się wyraził fakt w najbrutalniejszej swojej wyniku bezpośredniego nagości. Gdyby się na tem skończyć miało, zysk czysty wypadłby na korzyść chwilową stworzeń, na które po menażeryach bez wstrętu patrzeć nie można. Czy się jednak na tem skończyć ma?

Wogóle od czasu niejakiego spostrzegamy czepianie się Anglii narodów nago chodzących. Niedawno toczyła wojnę z zulusami, która się upamiętniła straszliwą wojsk angielskich i nadziei bonapartystów klęską. Teraz w Sudanie stanęła do zapasów marsowych z przeciwnikiem, nie o wiele przewyższającym poddanych nieboszczyka Cetewaya. Skąd to pochodzi? Co to znaczy?

Racya wypraw tych łatwą jest do zrozumienia. Wytłomaczył ją i scharakteryzował Darwin. Jest to: „Walka o byt.“ Anglikom ciasno w ojczyźnie, szukają przeto dla ludności swojej upływów na kuli ziemskiej, nie w jednem jakiemś miejscu, ale wszędzie, gdzie się tylko otworzy luka, przez którą przecisnąć się można. W kierunku tym działają zgodnie nauka i polityka. Livingstony wyszukują źródeł Nilu i przebijają się przez kraje nieznane, zbogacając wiedzę; Beaconsfieldowie i Gladstony wy-

---

Strach zniknął. Na twarz Wandy zaczęły powoli występować wypieki, świadczące o stanie wewnętrznej podniety.

Odtąd zaczęły się dla niej dnie, w których przestała poznawać samą siebie. Przetwarzała się z każdą chwilą. Psychiczny stan, po części zaś sam rodzaj kuracyi doprowadził ją do pewnego stopnia nerwowej nadczułości.

Posiadając zasób siły zawsze jednakowy, podlegała ustawicznym zmianom w jej napręźeniu. Raz na przykład mogła się ścigać, wbiegała na wysokie szczyty bez długich odpoczynków; to znowu nie była w stanie przejść najkrótszej i najrówniejszej alei w parku. Umysł jej chwilami otwierał się i każdym porem wciągał wrażenia świata zewnętrznego. Mogła i potrzebowała nieraz mówić całemi godzinami; nieraz znowu — po dawnemu — zapadała w senność, i w całej swej istocie czuła ołowianą ciężkość.

Włoch nie odłączał się od polskiego towarzystwa, jakie otaczało Wandę i jej matkę. Dziewczyna zajęła go delikatnością swoją. Zdawało mu się, że z sinych warg i bladych jej policzków nie zdołał jeszcze opaść szron północy. Czasami paliła go dziwna chęć pocałowania jej ust. Sądził, iż byłby przelał w nie część tego żaru, który wiecznie czuł w sobie, a który pędził go po krańcach świata, nie dając mu wypoczynku.

Zobaczywszy Wandę, po raz pierwszy w życiu, powiedział sobie, że się ożeni. Gdy była milcząca, blada, senna, cieszył się myślą, iż ją kiedyś ożywi. Jeżeli się śmiała, żartując i biegając z rozognioną twarzą, i szeroko rozwartemi źrenicami — pobudzała go, ale tak, jak pobudza lekkie wino i lekki, potoczysty, wdzięczny walc Chopina. Czuł, że ją czarował dźwiękiem słów swoich, więc mimowoli przeciągał zgłoski, zachowując pewien rodzaj śpiewności w zwyczajnej mowie. Wzrok Wandy nie budził w nim namiętności, lecz ciche, dobroczynne ciepło. W obejściu okazywał raczej serdeczność brata, aniżeli zapał kochanka.

Czasami tylko, pochylony nad jej ustami, coś szepnął takiego, że słowa, jak zaklęte, plątały się po głowie dziewczyny i nie dawały jej zasnąć.

A ona jeżeli nie spała, to całą potęgą wyobraźni goniła obrazy przyszłości. Chory jej organizm, jak egzotyczna roślina, potrzebował teraz dużo ciepła i słońca. Czuły to jej usta, które nieraz pod wpływem fantazyi otwierały się, jak gdyby już miały wciągnąć w podniesioną pierś gorącą, lotną atmosferę południa.

Czarne, wilgotne oczy włocha patrzyły na nią z ciemnej przestrzeni; zdawało jej się, że on sam podchodzi do niej: słyszała nawet cichy odgłos kroków... Serce zaczynało drgać słabo, potem coraz mocniej. Wybuchała nerwowym, spazmatycznym płaczem, przechodzącym stopniowo w śmiech. Po skończonym ataku leżała nieruchomie; opanowywało ją pragnienie pieszczoty: wyginała głowę na poduszkach, jak gdyby ją w tej chwili miała położyć na czyichś piersiach. Nazajutrz po takiej nocy wstawała osłabiona; jeżeli chodziła, to stopy jej zdawały się wrastać w ziemię; siedząc, przelamywała się w pół. Świat przed oczami jej zakrywała szara, mglista zasłona, przez którą widziała wszystko tylko w odbiciu nędznej, niewykończonej panoramy. Wrażliwość zdwajała się: jedno słowo, wymówione przez kogoś nieoczekiwanie, rzucało silne, niepokojące rumieńce na kredowe jej policzki.

Raz, wyszedłszy z rana pod opieką pana Piotra na zwykły kuracyjny spacer, spotkała na samym skraju lasu włocha, który pospieszał naprzeciwko niej z oznajmieniem, iż gotów służyć za przewodnika w wyprawie na jedną ze skał, którą oddawna obiecał pokazać polskiemu towarzystwu. Wanda zgodziła się na natychmiastowe pójście, choć to było nazajutrz po niespokojnej, burzliwej nocy, w czasie której rozprzężenie nerwów wzbudziło w niej śmiech i płacz naprzemiany.

W głębi świerkowego lasu usiadła rzeczywiście ładna, duża, granitowa skała, z jednej strony wznosząca się prostopadle po nad wierzchołki drzew, rosnących u podnóża, z drugiej zaś rozsypana w mniejsze

szukują pretekstów i przebijają się przez zawady ogromne, zapewniając dla rasy anglo-saskiej chleb powszedni. W gruncie, w istocie nie inne działają podniety, pomimo, że się osłaniają racyami, maniacznie na pozór wyglądającemi. Anglicy stanęli wobec alternatywy takiej: albo się rozradzać na wyspach Trojga Królestw z perspektywą poduszenia się na nich, albo napadać zulusów, sudańczyków i rozmaitych innych przedstawicieli pierwocin bytowania ludzkości i — tworzyć z nich sobie groźnych w przyszłości przeciwników. Interesy handlowe, widoki polityczne, względy państwowe, honor sztandaru, urok imienia, szczęk i brzęk cały wyrazów brzmiących, które z wyżyn tronu spadają na poziom parlamentarny i z poziomu parlamentarnego do tronu — wszystko to znaczy troskę o chleb. Dla chleba kawałka drą się anglicy ucywilizowani z ludami pół-dzikimi i dzikimi.

W darciu się tem atoli zachodzi kwestya jedna, doniosłości niepozbawiona, a do przyszłości się odnosząca. Anglicy nagich pobijają i zabijają, nie wybiją jednak ich przecie co do nogi. Jest to niepodobieństwo fizyczne. Sam klimat stoi temu na przeszkodzie. Mogą oni hyeny pokarmiać w okolicach Suakimu; trudno już im iść do Kartumu; nie mogą się zbrojną ręką posuwać do tajemniczych wnętrzy Kordofanu i Darfuru. Klimat, pustynia zasłaniają arabów przed ciosami angielskimi i stanowią dla nich — do czasu jakiegoś przynajmniej — schronisko bezpieczne, w którym mogą oni nietylko się przechowywać, ale oraz i rozmyślać na powodami klęsk, zadawanych im przez przybyszów. Wynik to naturalny. Pobity zapytuje: jak to się stać mogło? Zapytanie takie tem pewniej ze strony arabów nastąpić musi, im mocniejszą jest wiara w ich proroctwa, które im tryumfy wróżyły. Sprawi ono zachwianie wiary, tak w namiestnika Ałłacha, jakim się zamianował Mahomet, jakoteż w namiestnika Mahometa, za jakiego się podaje Mahdi i — stanie się zawiązkiem cywilizacyjnym. Następstwo tego rodzaju przewidywać się daje, w przyszłości bliższej lub dalszej—to do rzeczy nie należy; przewidywać się daje w naturalnym a logicznym rozwoju zdarzeń, sprowadzających na wybrzeża afrykańskie poszukiwaczy chleba.

Walka o byt wywołuje do życia narody, znajdujące się obecnie w stanie takim, w jakim znajdowali się europejczycy w dobie przedhistorycznej. Wywołanie to odbywa się w sposób brutalny i wstrętny — do spółki z hyenami. Cóż robić! Czy to narody europejskie cywilizacya mało kosztowała? Grecy nie kolonizowali z rószczką oliwną w ręku; w późniejszych zaś czasach duch postępu przebijać się musiał przez inkwizycyę, tortury i stosy, podpalane ręką mężów rodzaju tego samego, do jakiego należy Mahdi. W oczach naszych dla historyi świta doba nowa — wszczyna się rozwój, którego my dobrze jeszcze rozpoznać, ani ocenić nie umiemy. Możemy go tylko zaznaczyć ogólnem walki o byt mianem — walki, która jest pod tym względem nową, że nowe dla siebie pole znalazła, zawiązując się na wybrzeżach Afryki, znanej dotychczas nie inaczej, tylko jako figura geograficzna. Co będzie dalej — nie zobaczymy. Za dni naszych nie rozstrzygnie się zadanie, zaznaczające się na przyszłość rysami stałymi — pod postacią ludzi, co tuczą hyeny.

T. T. Jeż.

Z GALICYI.

Lwów, 7 kwietnia 1884.

Rząd sprzyja krajowi.—Działalność komitetu obywatelskiego około ratowania dłużników i wierzycieli b. Banku włościańskiego.—Pan Fried, bohater.—Zgromadzenie członków Banku.—Jeszcze raz p. Fried.—Rezygnacya p. Zacharyewicza.—Rząd i Koło polskie.—Pan Grocholski.—Stan spraw galicyjskich.—Trzechsetna rocznica śmierci Kochanowskiego w teatrze.—Jubileusz Aszpergerowej,

Upewniam was jeszcze raz, że rząd sprzyja krajowi. Czynię to zaś dlatego, że o tej najoczywistszej prawdzie gotowiście powątpiewać, gdy doniosę kilka faktów, świadczących na pozór zgoła inaczej. Uspokoiwszy czytelników moich do takiej samej błogiej drzemki, w jaką Galicyę oddawna już upowito, śmielej teraz przystępuję do opowiedzenia, co delegacya komitetu dla ratowania Banku włościańskiego przywiozła z Wiednia. Jeździli Sapieha, Sanguszko i dr. Zgórski. Prosili zaś, włócząc się od Anasza do Kaifasza, o jeden milion tylko, źle mówię, o *pożyczkę* jednego miliona. Odprawiono ich z niczem. Zrobił wprawdzie rząd słabą nadzieję, że zaliczki nie odmówi, jeżeli walne zgromadzenie Banku uchwali pozasądową likwidacyę wedle projektu komitetu pomocniczego (obywatelskiego), ale na przyrzeczeniu tem niewiele można budować.

Odbyło się więc przedewszystkiem posiedzenie komitetu obywatelskiego a następnie walne, zarazem ostatnie, zgromadzenie członków Banku włościańskiego, tego upiora, który wyssawszy morze krwi z dłużników, dręczy teraz ich i nieopatrznych wierzycieli. Dyrekcyi i Radzie nadzorczej nie uczynił on natomiast nic złego, owszem, jeden z dyrektorów, dr. Fried, zrobił niezły majątek. Właściwie, prócz surduta nie posiada on żadnego mienia. Tak przynajmniej oświadczył pytającemu go o to komisarzowi rządowemu. Ale za to pani Friedowa jest właścicielką dóbr i kamienic a temu to przypisać należy, że były dyrektor nie umarł jeszcze z głodu. Nie bójcie się! Pan Fried ani nie umrze z głodu, ani nawet do kozy się nie dostanie. *Il y a des juges à Berlin!* — zawołacie może. Licha tam! Przy dzisiejszym systemie wolnego współzawodnictwa, który pozwala nietylko oszukiwać, ale i umierać z głodu, niema podobno sędziów ani w Berlinie, ani tem mniej w Austryi na takich panów...

Zgromadzenie akcyonaryuszów, wyraziło zupełne zaufanie komitetowi obywatelskiemu, któremu rusini czynili zrazu rozmaite zarzuty, chcąc przeprzeć ogłoszenie konkursu. Ruś sądziła, że włościanie wyjdą na tem lepiej. W tym też duchu przemawiał na zebraniu młody ksiądz Sieczyński, poparty przez całą prasę ruską. Gdy mu jednak wykazano, że wedle jego projektu chłop musiałby więcej zapłacić, niż pojmuje komitet, cofnął swój wniosek, poczem zgromadzenie przyjęło plan likwidacyi, znany wam już z listu poprzedniego, z tą między innemi drobniejszemi poprawką, aby za listy dłużne płacić nie 55, ale 50%. Zalecono również, wybranym likwidatorom i komitetowi dołożyć wszelkich możliwych starań „celem pociągnięcia winnych do odpowiedzialności moralnej i materyalnej, iżby tym sposobem stało się zadość obrażonej moralności politycznej.“

Opowiadano mi, że p. Fried uśmiał się do łez, usłyszawszy o powyższej uchwale. „Ja-

---

i większe kamieniste bryły, tworzące rodzaj stopni, po których można było dojść do rozstrzępionych, poobłamywanych tu i owdzie szczytów. U stóp, dokoła, jak również i pomiędzy rozsypanemi bryłami, rosły gdzieniegdzie karłowate świerki i jarzębina.

Skałę tę odkrył dawniej jeszcze ruchliwy Bruno w czasie jednej ze swych samotnych wycieczek. Opowiadał o niej często, skutkiem czego Wanda postanowiła ją poznać.

Idąc, milczeli wszyscy troje: Wanda — z osłabienia, włoch — dla odmiany, pan Piotr — ponieważ go niesłuchano. Doszli wreszcie do podnóża.

Bruno, wiedząc, z której strony najłatwiejszy przystęp, poprowadził Wandę. Nie pozwolił jej piąć się: unosił ją prawie zupełnie po nad ruchomemi bryłami kamieni, a, dotarłszy do szczytu, wskazał jej na jednym z wyłomów przygotowany już rodzaj ławeczki z malin i paproci, prosząc, by usiadła.

Pan Piotr, któremu chroniczna duszność w piersiach nie pozwalała chodzić szybko po górach, a tembardziej piąć się na skały, pozostał w tyle. Wdrapując się niezręcznie, liczył spadające na dół z głuchym łoskotem kamienie.

Wanda, usiadłszy, rozejrzała się trwożliwie dokoła.

Za sobą miała stromą, prostopadle ociosaną ścianę z powystrzępianymi szczytami; przed sobą — piramidalną masę brył granitowych i rosnące pomiędzy niemi paprocie i karłowate świerki.

Włoch stanął przy niej na wąskiej przestrzeni, gdzie tylko dwie jego stopy mogły utrzymać się bezpiecznie. Wsparłszy rękę o wyłom po nad głową Wandy, śledził ją oczyma.

Długą chwilę patrzył na rzeźbiony jej profil, tak delikatny i nikły, że zdawał się być raczej odbiciem, aniżeli żyjącą twarzą. Śledził zaokrąglenie jej szyi i każdy skręt przezroczystej konchy usznej, przez którą przez którą przebijały promienie wschodzącego słońca.

Oddychała słabo; piersi nie falowały; puls drgał niewyraźnie; oczy miała zamglone matowym blaskiem źrenic. Usta rysowały się blado sinawą, zaokrągloną w obu kątach linią.

W piersi Bruna wciskało się pełną falą świeże ranne powietrze, nadając sprężystość wszystkim mięśniom ciała. Czuł potrzebę ruchu, szaleństwa.

Ile razy dotąd opanowała go podobna żądza, musiał ją zaspokoić: inaczej — wpadał w stan rozdrażnienia, graniczącego z obłędem. W Wenecyi skoczył raz z okna trzeciego piętra do gondoli, stojącej na środku kanału. W Kairze zerwał zasłonę z twarzy arabki, której oczy uderzyły go wymownym wyrazem.

Nie bacząc na małą przestrzeń, jaka go dzieliła od spadku skały, zgiął kolano i pochylony przed siebie, wyciągnął usta do ust Wandy, gdy w tem usłyszał nagły, przerwany krzyk, po którym Wanda zesztywniała i całym ciężarem swej postaci pochyliła się w tył.

Krew uderzyła mu do głowy. Nie widział jeszcze nigdy mdlejącej kobiety: z zielonych smug na twarzy, z zaciśniętych powiek wyjrzało dlań widmo śmierci.

Nadzwyczajny wysiłek podtrzymał go w stanie półświadomości: inaczej — byłby skoczył w przepaść, rozwartą po za plecami Wandy. Szalał nienasyconą żądzą pocałunku, którym chciał, jak Pigmalion Galateę, zbudzić do życia senną, osłabioną, bladą dziewczynę, wlać purpurę w sine jej usta i część swego własnego, palącego żaru w jej piersi.

I teraz byłby ją całował jako umarłą, lecz instynkt nie pozwalał.

Klęczał, nie wiedząc sam, jak długo, zawieszony na wyłomie, prawie w powietrzu. Jedną ręką opierał się o wystający brzeg skały, aby nie upaść; drugą — trzymał chylącą się w tył bezprzytomną Wandę.

W końcu usłyszał czyjeś chrząkanie; zobaczył dwie ręce, migające mu przed oczyma, jak papierowe skręty; chciał zejść: masa drobnych kamieni osunęła się pod pierwszym jego krokiem.

Z długiego natężenia drgały wszystkie mięśnie jego ciała. Schodząc, chwiał się, jak pijany. Wreszcie tracił głowę o jeden z mocno zaostrzonych zrębów: nie czuł bó-

kie wuni głupie!“ powtarzał ciągle, chychocząc się. I podobno miał racyę.

Jeszcze raz powtarzam, że rząd sprzyja krajowi, jakkolwiek nawet profesor Zacharyewicz sądzi inaczej. Przypominacie sobie zeszłoroczną walkę wyborczą we Lwowie. Rząd forytował Zacharyewicza i ostatecznie przeparł go, myśląc, że znajdzie w nim sojusznika, a przynajmniej mniej niebezpiecznego przeciwnika od redaktora *Reformy* krakowskiej. Zawiódł się jednak. Stanie Koła a sprzyjanie rządu, niezmienne aż do znudzenia, sprzykrzyło się najmłodszemu posłowi i oto osobnem orędziem zawiadamia wyborców swoich, że składa mandat. Oświadczenie jego, krótkie izwięzłe, ale aż nadto zrozumiałe.

„Do moich wyborców! Dzieje Koła w ostatnich czasach są z dzienników dostatecznie znane. Starałem się celowi odpowiednie wnioski podawać w Kole do zbadania i uchwały. Sposób przyjęcia jednych— zabagnienie i ostateczne pominięcie drugich — nie pozwalają mi pozostawać nadal na stanowisku. Złożyłem mandat do Rady państwa.“

Poseł lwowski wskazuje tylko na Koło polskie i bardzo dobrze robi, gdyż działał tylko w Kole, za to znowu, co Koło, a właściwie p. Grocholski robił z rządem, p. Zacharyewicz nie może odpowiadać. Co zresztą wogóle robi p. Grocholski, o tem nikt nie wie. Jego ekscelencya jest typem upartego staruszka, który nie znosi żadnej kontroli, ani współdziałania i sam wszystko załatwia bez względu na to, czy to potrzebne i korzystne, przyczem zajęty drobnemi sprawami, zapomina o ważniejszych. Tak np. zapomniał najzupełniej o kolejach galicyjskich, musiał bowiem, przyodziawszy odświętny kontusz, dreptać po rozmaitych ministerstwach za jakąś tam kolejką bukowińską. Oczywista rzecz, że kraj nie bardzo z tego zadowolony, gdy zaś niektórzy posłowie uważają jeszcze za swój obowiązek działać w interesie kraju, dał się słyszeć lekki szmer na ostatniem posiedzeniu Koła polskiego. Postępowanie „pana Kazimierza“ zdało się nieco dziwnem zwłaszcza p. Zacharyewiczowi, który, jako kolejnik, najlepiej to zrozumiał, że droga żelazna z Czerniowiec do Kimpolnagu, czy tam Seretu, znacznie mniejszą przyniesie korzyść Galicyi, aniżeli ze Lwowa na Rawę do granicy Królestwa polskiego. Zapytał więc prezesa Koła, czyby nie zechciał wziąć również udziału w deputacyi, mającej porozumieć się z rządem w sprawie budowy kolei rawskiej. P. Grocholski nie poddał jednak wniosku nawet pod obrady, zmuszając postępowaniem swojem Hausnera do wystąpienia z Komisyi kolejowej a Zacharyewicza do złożenia mandatu.

Dziwny ten pan Kazimierz! Dałbym głowę za to, że w całej swojej karyerze politycznej nie zarobił on ani centa po za dyetami poselskiemi i że od patryotyzmu nie odcina kuponów, jak to czyni wielu innych; a jednak zachowanie się jego — w ostatnich zwłaszcza czasach — sprawia takie wrażenie, jak gdyby ten *polonissimus* całą duszą zaprzedał się rządowi. Jest to zagadka, do której przecież hr. Taaffe klucz posiada, ciesząc się z tego zapewne niepomiernie. Kraj natomiast wychodzi na tem najgorzej. O decentralizacyi sieci kolei galicyjskich przestaliśmy już marzyć nawet— sprawa indemnizacyjna stoi bardzo źle — uniwersytet lwowski obywa się dotychczas bez wydziału lekarskiego — przywilej kolei północnej z taryfami dla Galicyi niekorzystnemi zostaje przedłużonym — i tak we wszystkiem, we wszystkiem same niepowodzenia na każdym kroku. Oj, ciężkie to będzie za rok zdanie sprawy!

Na zakończenie listu zstąpię, jak to zwykle czynię, z trybuny politycznej do teatru. D. 27 z. m. urządziło Koło literackie uroczyste przedstawienie ku uczczeniu trzechsetnej rocznicy zgonu Jana Kochanowskiego. Tyle też wszystkiego, na co zdobył się Lwów w cześć śpiewaka z Czarnolasu! Część muzyczna wieczoru składała się z elegii Karpińskiego, psalmów Gomułki, poloneza Moniuszki i paru utworów solowych z słowami Kochanowskiego. Ten dział wypadł dobrze; gorzej natomiast deklamacye. Dano wreszcie wyczekiwaną niecierpliwie *Odprawę posłów greckich*. Z przykrością wyznaję, że mimo całego pietyzmu dla Kochanowskiego i jego utworu, pietyzmu, spotęgowanego uroczystym nastrojem chwili, zdało mi się ciągle, że spoglądam w szopkę, chociaż artyści szczerze się starali nie być maryonetkami.

W cztery dni później obchodziliśmy z większą jeszcze uroczystością 50-letni jubileusz zawodu scenicznego p. Anieli Aszpergerowej, znanej dobrze artystki na wszystkich scenach polskich. Może to nie najpierwsza, ale w każdym razie pierwszorzędna siła w rolach tragicznych, dobra w każdym dramacie i poważnej komedyi. A że używano jej czasami także w farsie, sądzę, że „babcia“ mogłaby z powodzeniem wystąpić i w operetce... Szczególnej to była i jest dobroci kobieta! Grała wszystko, co jej dano, za co jej też nie omieszkał pochwalić na bankiecie dyrektor teatru...

Rewera.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, marzec.

Wiosna.— Cesarzowa austryacka.—Jubileusz uniwersytetu,—Kraszewski.—Kant contra Fischer.—Powaby gry i kłamstwa konwencyonalne.—Artykuł Spencera.—Rewelacye lady Manners.—Doktor W. Szerlecki.—Dr. A. Grabski.—Nowoodkryty zabytek piśmiennictwa chrześciańskiego z II w.

Kiedy słońce wiosenne zajaśnieje, drzewa się zazielenią, a przez otwarte okno doleci zapach rozwijających się pączków roślinnych i budzących się z zimowego milczenia ptasząt, wówczas niepodobna nie zwrócić na to uwagi i nie zamieścić o tem słówka w liście, chociażby ten miał być drukowanym. Wiosna, jak miłość w powieściach i komedyach, jest i będzie wiecznie starym i wiecznie nowym wątkiem; obie działają na nas tym czarem niewiadomości, który czujemy wszyscy, choć wytłomaczyć źródła jego nie umiemy. Niechże tedy pierwsze wspomnienie dzisiejsze poświęcone będzie wiośnie, która tu jest wczesną, pogodną i, jak wszędzie, niewypowiedzianie piękną.

Czy mamy za to dziękować naturze? A może to tylko z jej strony zalotny czy służalczy uśmiech do wielowładnej monarchini, która miasteczko nasze ma zaszczycić kilkutygodniowym w niem pobytem. Tylko nie *w niem*, ale raczej *nad niem*; bo cesarzowa austryacka, przybywająca tu za dni kilka z Wiesbadenu, zamieszka w hotelu tak zwanym zamkowym, a ten „na ziemskie spogląda żaki“ z wysokości około dwustu metrów nad falami Nekaru, dając widok cudowny na sąsiednie góry i na u stóp ich rozściełające się miasteczko, z pyszną ruiną zamku. Hotel ten, wielki i pięknie zbudowany, służy przedewszystkiem za stacyę kuracyjną dla leczących się lub leczonych

---

lu w skroniach ani pod czaszką; zdawało mu się tylko, że usiadł na granitowych bryłach, a one blokowym ruchem same staczały go w dół...

Wandę potrzymał pan Piotr, który, zaszedłszy z drugiej strony, znalazł bezpieczną i wygodną przestrzeń w miejscu, gdzie skała zarysowała się poziomo, zanim opadła w dół nagą, prostopadłą ścianą.

Zemdlenie trwało długo. Pana Piotra zaczęły napadać zwykłe reumatyczne kurcze; nie wiedział co robić: brakowało mu już sił dla utrzymania sztywnej dziewczyny.

Szczęściem — przechodził na dole silny, zdrowy, górski chłopiec: zawołał więc nań i kazał mu znieść chorą.

Wanda długo nie mogła przyjść do siebie. Otrzeźwiono ją. Doktór pokaleczył sobie palce, zanim zdołał otworzyć zaciśnięte jej zęby i wlać przez nie do ust kilka kropli eteru.

Wreszcie otworzyła blade, zamglone oczy, ale wodziła niemi błędnie, nie rozumiejąc, co się działo dokoła niej.

Była w stanie tego odrętwienia, które długi czas zatrzymuje w nerwach ostatnie wrażenia.

Postać włocha rysowała się w jej pojęciach niewyraźnie. Widziała tylko zgiętego i zawieszonego w powietrzu człowieka. Trwoga, jakiej doznała, gdy szukał jej ust swojemi, skrzepła w jej żyłach: podobną była do lęku, który ją opanowywał bezsennemi nocami podczas umysłowych halucynacyj.

Czuła jeszcze to przelanie się krwi w mózgu, w chwili, gdy pojęła nagle, iż ona i klęczący przed nią mężczyzna są prawie nad przepaścią... Głowa jej ciężyła pijanem odurzeniem. Jak chińskie cienie, przesuwały się przez nią wspomnienia: na teraźniejszość była głuchą, obojętną; nie pytając o nic; pozwalała przeprowadzać się, przenosić bez najmniejszego szemrania. Oczy miała matowe i dziwnie zacięty, jakby skamieniały wyraz twarzy.

Pan Piotr oznajmił matce, iż miejscowy lekarz nie będzie umiał znaleźć lekarstwa na cierpienia chorej dziewczyny i postanowił przewieźć ją do pobliskiego miasteczka, gdzie — zdaniem jego — miał mieszkać znany na całą okolicę doktór, nieudzielający się za żadną cenę nigdzie, prócz w murach F.

Dopiero gdy powóz ruszył i Wanda, ułożona na poduszkach, zamknęła powieki, śpiąc, czy udając sen, nachylił się do „kuzyny“ i rzekł właściwym mu przekonywającym tonem:

— Dalibóg na waszem miejscu, bratowo, odprawiłbym nowennę do Matki Boskiej Częstochowskiej na podziękowanie, że pozwoliła mi się wydostać jako tako z przeklętej dziury, gdzie na każdym kroku przyplątują się to szwaby, to inne licha, których nie rozumiesz.

Ki dyabeł zesłał naprzykład tego włocha? Przewrócił dziewczynie w głowie: byłby ją do reszty zbałamucił, gdyby nie to, żem ich strzegł. I tak choruje już przez tego fircyka. Radzę wam nie wracać!...

Matka Wandy była znękana niedawnym ciosem; skutkiem tego stała się powolną, jak dziecko. W każdem, bodaj najniedorzeczniejszem zdaniu upatrywała słuszność i dała powodować sobą komukolwiek. Radę pana Piotra usłuchała zatem z wdzięcznością.

W miasteczku zatrzymano się tylko przez noc. Ów słynny, niechcący za żadną cenę praktykować w okolicach, lekarz okazał się tylko fikcyą wybujałego sprytu zapobiegliwego kuzyna. Zniedołężniały chwilowo umysł matki Wandy nie poznał podstępu: ukryło go zręczne omówienie. Nad ranem przyszły rzeczy, pozostawione w G., poczem wyruszono dalej.

Wanda nie pytała ani o cel podróży, ani o jej powód: była ciągle w stanie letargicznego odrętwienia. Przed oczyma jej migało odbicie luźnych części skały, na której zemdlała. Ust jej zdawały się dotykać fale tego samego co i wtenczas, skąpanego w żywicznych wyziewach świerków, powietrza.

Po kilkudniowej, bardzo powolnej podróży z odpoczynkami w każdem większem mieście, przez które przejeżdżali, dotarli nakonice do miejsca przeznaczenia.

(D. n.).

świeżem powietrzem górskiem. Parę lat temu, wyprawiony tu przez lekarzów paryskich, który, jak mówią, wolał pozbyć się bez nadziei chorego, niż doczekać śmierci w Paryżu, umarł w tym hotelu największy magnat litewski, hr. Rajnold Tyzenhaus.

Dla Heidelberga zapowiedziany przyjazd i pobyt cesarzowej jest, ma się rozumieć, „ewenementem.“ Dzienniki miejscowe wiedzą już, że dostojna pani wynajęła cały hotel z przyległościami, że będzie miała w orszaku swym sześćdziesiąt osób i kilkanaście koni, że konno już nie jeździ, ale za to fechtuje się zawzięcie codzień zrana przynajmniej dwie godziny, że już zamówiła na partnera do tej rycerskiej zabawy tutejszego tak zwanego uniwersyteckiego fechmistrza itd.

Uniwersytet tymczasem i mieszczanie nasi gotują się na przyjęcie gościa prawdziwie rzadkiego, bo raz w pięćset lat tylko przybywającego: mówię o półtysiącletnim jubileuszu wszechnicy tutejszej (1386). Mnóstwo pięknych projektów sypie się jak z rogu obfitości; nie jeszcze jednak nie postanowiono. W każdym razie zjazd w roku jubileuszowym (1886) będzie z pewnością ogromny, uroczystości świetne, a w rezultacie, jako trwałe pamiątki, zostaną: przebudowanie gmachu starego, obszerne dzieło o dziejach uniwersytetu (piszą je już oddawna) i zapewne niejedno nowo stypendyum.

Smutne i niepokojące tu wieści dochodzą o Kraszewskim. Obyż natura nie odmówiła starcowi sił do zniesienia przykrości wiszącego nad nim procesu, z którego, miejmy nadzieję, wyjdzie zwycięsko, „na pohybel“ wrogom, złośnikom, potwarcom i zazdrośnikom.

Każdy dzień przynosi nowości, nowiny i odkrycia literackie i naukowe. Przygotowany zapas referatów o najnowszych tego rodzaju zjawiskach, którego początkiem zająłem uwagę czytelników w poprzednich listach, musi zaczekać trochę, nim wolniejsze chwile nadejdą. Tymczasem zapisuję nowiny bieżące, póki, jak to powiadają, są jeszcze ciepłe. Najważniejszą jest odkrycie i ogłoszenie zabytku literatury chrześciańskiej z II w. ery naszej; o tem na końcu listu rozpiszę się obszerniej; wprzód zamieszczam drobniejsze wieści.

Pastor Krause, posiadacz rękopisu Kanta (o którym pisałem niedawno) wystąpił ze sporą książką przeciw historykowi i egzegiecie filozofa królewieckiego, K. Fischerowi, w której, jak mi mówią (książka dopiero wczoraj tutaj nadeszła), dowodzi, że Fischer niesłusznie uważał nieznane dawniej, a obecnie drukujące się wielkie dzieło Kanta za podrzędne, jako w latach zgrzybiałości jego napisane. Wolelibyśmy samo owe dzieło, wyznaję, niż tę niewczesną, a raczej przedwczesną polemikę pastora hamburskiego.

Bardzo przychylne wrażenie na publiczności tutejszej wywarły dwie nowe publikacye treści popularno-psychologicznej, obie nader ładnie i zajmująco napisane: Lazarusa „Powaby gry“ (Die Reize des Spieles) i Maxa Nordau „Kłamstwa niekonwencyonalne“ (Die conventionellen Lügen). Polecić u nas można obie te książki nietylko do czytania, ale i do przetłomaczenia *).

Zwolennicy filozofii Spencera znajdą w styczniowym zeszycie czasopisma londyńskiego *The XIX century* (Wiek XIX) tego autora niewielki, ale treściwy artykuł p. t. „Religia, pogląd wstecz i w przyszłość.“

Jako odpowiednik do opisu p. Wasila o arystokracyi berlińskiej, znajdujemy w jednem z czasopism angielskich (*National-Magazine*) artykuł lady Manners (żony b. ministra), który nazwać można tajemnicami high-lifu angielskiego. Zodkrytą przyłbicą, nie chowając się, jak Kassandra berlińska, pod listkiem pseudonimu, pani M. niemiłosiernie chłoszcze magnateryę brytańską, zarzucając jej próżniactwo, zbytek, złe nałogi i wiele innych grzechów śmiertelnych i nieśmiertelnych. Mężczyznom ciska w oczy zarzut zniewieściałości, pijactwa i rozrzutności. Panicze, powiada, rozpoczynają dzień od wody sodowej z wódką, a raczej od wódki z wodą sodową, w celu zabezpieczenia się od *kacenjameru;* wylegają się w łóżku do dziesiątej godziny; potem zabierają się do sutego śniadania, obficie skrapianego winem; wkrótce następuje drugie śniadanie, t. zw. „luncheon,“ z niemniejszą dozą spirytualiów; panie przy tem piją także i palą. Zbytki dochodzą do nieznanych dawniej rozmiarów: damy zmieniają tualety trzy razy jednego wieczora; kawalerowie tracą na cygara czasem pięć funtów dziennie (125 fr.); kwiaty na pewnym balu kosztowały 2000 funtów (50,000 fr.), a za jeden bukiet płacono po trzy gwinee (80 fr.). Pani Manners gorącemi słowy podnosi kontrast wzrastającej nędzy klas uboższych z tym szalonym zbytkiem arystokracyi. I rzeczywiście, zdaje się jakby Anglia przeznaczoną była na wytrzymanie pierwszego ataku socyalistów: w nią godzą najzaciętsze ich pociski, dynamitowe, i mniej groźne, mówione i drukowane; w Anglii też książki i odczyty Georgesa ogromny posłuch znajdują. A w sferach najwyższych dostrzega się niby zaćmienie tego sławnego niegdyś rozumu, taktu i daru przewidywania politycznego i społecznego. Nie przebaczą królewięta angielskie szorstkich słów prawdy pani Manners, tak jak nie mogą darować filozofowi Arnoldowi niedawno na meetyngu wyrzeczonych słów jego: „W podróżach moich u trzech narodów trzy kardynalne niedostatki spostrzegłem: u niemców—brak odwagi cywilnej, u francuzów—moralności, a u anglików—jasnego poglądu na rzeczy.“

Z Mülhuzy dochodzi nas tu smutna wiadomość o śmierci sędziwego doktora Władysława Szerleckiego, rodem warszawianina, emigranta z r. 1831, wysoce poważanego człowieka i lekarza. Obszerniejszą wzmiankę o nim, zaczerpniętą z dzienników sztrasburskich, podałem gdzieindziej; tu kilku słowami wspominam o tym szanownym człowieku; pracował on wiele w życiu, o tem świadczą liczne dzieła jego lekarskie, głośne i tłomaczone na różne języki w swoim czasie; dobry był i miłosierny, czego dowodzą gorące o nim artykuły dzienników alzackich i ubóstwo, w którem umarł, mimo ogromną aż do śmierci praktykę.

Parę tygodni temu doktoryzował się w uniwersytecie tutejszym p. Antoni Grabski, rodem z Poznańskiego, jako specyalista - chemik; otrzymał stopień doktora filozofii.

A teraz, na zakończenie, obszerniejszą pozwalam sobie uczynić relacyę o świeżo w Konstantynopolu ogłoszonej książce, zawierającej krótki, ale bardzo ważny zabytek z II wieku po Chr. Książka tu jeszcze nie nadeszła; ale że zabytek ów mieści się na kilku kartach, a resztę dzieła streścił i sam zabytek w przekładzie niemieckim podał prof. Harnack w jednem z czasopism teologicznych (*Theologische Literaturzeitung* r. b. nr. 3), więc śmiało mogę uprzedzić głębsze zbadanie tego dokumentu pobieżną o nim i jego znaczeniu wzmianką.

Wiedziano oddawna, że podstawą tak zwanej ordynacyi apostolskiej, czy też kościelnej (odpowiadającej we wschodnim kościele temu, czem w zachodnim jest t. zw. symbol apostolski) było pismo, pochodzące z II wieku, znane tylko z późniejszych przeróbek, ale uważane za zaginione. Otóż siedm lat temu, Filoteuszowi Bryenniosowi, obecnie metropolicie nikomedyjskiemu udało się odnaleść najdawniejszą redakcyę tych t. zw. przepisów apostolskich; pracował on siedm lat nad krytycznem zbadaniem i porównaniem tekstów, oraz nad dotyczącą literaturą i dopiero w tym roku ogłosił drukiem p. t. *Didache ton apostolon.* Co do czasu, zabytek ten równie dawnym jest jak tak zwany Pasterz Hermasa, a więc pochodzi z lat 120—160 po Chr. Zawiera on wiele ważnych dla nauki wskazówek. Opisuje taki stan gminy chrześciańskiej, jaki dotychczas tylko wyobrażać sobie można było, drogą pośredniego odtwarzania; wyjaśnia niezrozumiałe ustępy innych pism dawnych; rzuca światło na pierwotny stan rozrzuconych śród pogan gromadek chrześciańskich i na ogólny poziom pojęć ówczesnych, przed samem pojawieniem się montanizmu, który, rzec można, zarysowuje się w tej *Didache*, w rozdziale ostatnim (16): „pilnujcie ciał waszych — czytamy tam — bo lada godzina, lada chwila Pan przyjdzie, a ten tylko będzie uratowany, kto wytrwa próbę ogniową.“

Znane były mniej więcej, z przytoczeń u innych pisarzów, rozdziały 1 do 6; ale 7 aż do 16 są zupełnie nowe, to jest nowe co do swej pierwotnej postaci, gdyż późniejsze ordynacye apostolskie, jak się obecnie pokazuje, rozszerzyły tylko, rozwodniły, rzec można, tekst ów pierwotny, wkładając doń nietylko całe frazesy, ale nowe imiona, przepisy i pojęcia: cała literatura dotycząca, powiada metropolita Bryennios, usilnie starała się usunąć, zakasować pierwotną *Didache*, aby tym sposobem uprawnić stan późniejszego rozwoju, wcale niepodobny do pierwszych chwil chrześciaństwa. Tak np. w zabytku, o którym mówimy, pod wyrazem *apostoł* rozumie się tylko wędrowny propagator chrześciaństwa, przedzierający się z gminy do gminy z wieściami, pismami i chęcią wzajemnego porozumienia; to co później przywyknięto nazywać księdzem lub kapłanem, to w zabytku naszym, z hebrajska, nazywa się prorokiem; we względzie eschatologicznym, to jest w pojęciach o tak zwanych rzeczach ostatecznych, szczególnie o bliskiem nadejściu królestwa bożego, przejęty on jest zupełnie duchem swego czasu: wierzy w bardzo bliski koniec świata i powrót Chrystusa; późniejsze, np. z IV wieku, przeróbki ordynacyi zacierają to gorączkowe oczekiwanie; mijały dziesiątki, setki lat — świat się nie kończył, nikt z nieba nie przybywał; powoli przestawano wierzyć w bliskość nowej ery. Wyrazu *prezbiter* zabytek nasz jeszcze nie zna; mówi tylko o prorokach i *biskupach*, to jest dozorcach, wyraźnie przepisując jak mają być *wybierani.* O chrzcie niemowląt niema ani mowy.

Wiele, bardzo wiele szczegółów wyjdzie na jaw po bliższem zbadaniu niewielkiego tego, ale ważnego zabytku. Podniosłem tymczasem punkty od razu w oczy wpadające. Żałuję, że brak miejsca nie pozwala na zamieszczenie tu całego tektu: na próbę podaję krótkie rozdziały, siódmy i ósmy.

Rozdz. VII. „Co się chrztu tyczy, tak chrzcijcie: chrzcijcie, po udzieleniu wszystkich nauk powyższych, w imię Ojca i Syna i Ducha św. w wodzie bieżącej. A gdy wody bieżącej nie masz, to chrzcij w innej wodzie; gdy nie ma zimnej, to w ciepłej. A gdy niema ani zimnej, ani ciepłej, to oblej głowę trzykroć wodą (jaką? *Red.*) w imię O. i S. i D. św. Przed chrztem winni chrzczący i chrzczony pościć, a także i inni, którzy mogą. Chrzczonemu zaś przykaż, aby jeden lub dwa dni przed chrztem pościł.“

Rozdz. VIII. „Posty wasze nie takie być mają, jak obłudników, bo ci poszczą w poniedziałek i czwartek. Ale wy powinniście pościć w środy i piątki. Nie powinniście też modlić się jak obłudnicy, ale jak Pan w ewangelii przykazał, tak się módlcie: Ojcze nasz... (dosłownie jak u św. Mateusza). Trzy razy na dzień tak modlić się macie.“

Rozdział IX mówi o ucztach wspólnych (eucharystyach); X o modlitwie „gdy się nasycicie,“ t. j. po eucharystyi; XI o apo-

*) O jednej z nich daliśmy sprawozdanie w nrach 16 i 17 *Prawdy* z r. 1883, o drugiej zamieścimy wkrótce. *Red.*

stołach i prorokach; „gdy trzy dni u kogo bawi apostoł (wyznawca wędrowny), to jest on fałszywym prorokiem,“ powiada jeden ustęp tego rozdziału; XII o podróżnych i wędrownych chrześcianach; XIII o jałmużnach; XIV o święceniu „dnia pańskiego;“ przed nim poróżnieni koniecznie winni się pogodzić; XV o biskupach i dyakonach; XVI (ostatni) o gotowości w przewidywaniu końca świata.

Rzecz ciekawa, iż teolog niemiecki Krawutzky kilka lat temu sprobował odtworzyć podług gdzieindziej rozsianych ułamków i przytoczeń ordynacyi tekst pierwotny 1 do 6 rozdziału; otóż okazuje się, że prawie dosłownie zgadza się on z oryginałem. Rzadkie to zdarzenie w krytyce źródeł, powiada Harnack, ażeby hypoteza tak świetnie stwierdzoną została.

Tak więc, w ciągu kilku lat ostatnich, Wschód obdarzył wiedzę teologiczną trzema ważnemi odkryciami dawnych zabytków: do listów Klemensa i tak zwanego *Diatessaronu* Tacyana przybywa z Azyi mniejszej *Nauka apostolska.*

Jan Karłowicz.

LISTY PETERSBURSKIE.

Epopeja Spielhagenowska*) wreszcie ukończona! Nie wiem, czy wieki następne będą uważały całe to zajście za materyał historyczny, ale nie sądzę, aby ono miało (jak twierdzą *Nowosti*) wpływ dodatni na kurs rubla; w każdym razie mamy ciekawą próbkę obyczajową. Kiedym się dowiedział, że Spielhagen przyjedzie do Petersburga, to z góry przewidywałem wojnę domową między organami nadnewskiej społeczności. Naprzód tego rodzaju wzajemne salutowania się stanowią niejako racyę bytu pp. redaktorów, którzy w skutek tego nie mogli stracić tak pysznej sposobności. Przecież sam p. Suworyn kiedyś utrzymywał, że największym filarem prasy rosyjskiej jest p. Katkow, bo bez niego nie miała by ona o czem pisać. Co zaś do *Now. Wremieni* to nie przeczę, że on ma *wiele* różnych racyj bytu, zacząwszy od filipowskich bułek, z którymi tak dzielnie w przeszłym roku wojował, a skończywszy na polakach; sposób jednakże użytkowania tej w tak obszernych granicach zawartej treści jest zawsze mniej więcej jednaki t. j. wymyślanie. Powtóre, zdaje mi się, że bardzo ważną rolę w tej całej patryotycznej wojnie odegrała polityka wewnętrzna. Autor znanej powieści, *Im Reih und Glied*, która, według p. Suworyna, oddziałała obyczajowo na społeczeństwo rosyjskie, mógł sobie powiedzieć, słysząc zajadłe napady, że *da ist der Hund begraben.*

Jaki był właściwie powód wniosku pierwotnie przez ojców miasta przyjętego, trudno określić, zapewne było w tem nieco i germańskiego szowinizmu ze strony p. Michelsona i cokolwiek niewłaściwego pozowania ze strony magistratu; ale tak znowu bardzo napadać na *zasadę* współudziału municypalnych instytucyj w społecznych uroczystościach nie wypada, gdyż nawet koszta poniesione przez miasto na pogrzeb Turgeniewa trzebaby nazwać ofiarą nieprodukcyjną, a przecież i sam senat był innego zdania. Ale społeczne uroczystości — to sęk. Czy rzeczywiście Spielhagen dla społeczeństwa rosyjskiego *teraz* jest autorem tak sympatycznym, jakim był przed 15 latu, aby złożenie mu publicznego hołdu było popędem świadomym? Wątpię. Sądzę przeciwnie, że wnioskodawcy za mało liczyli się z obecnie panującym prądem „otrzeźwienia,“ które przepysznie opisał Szczedryn w ostatniej seryi *Poszechońskich opowieści.*

Dlatego to wszelkie wysiłki, aby gościowi niemieckiemu czynić wielkie owacye, chociaż może i szlachetne w zasadzie, jako nieliczące się z usposobieniem chwili obecnej, musiały chybić i dać tylko niepotrzebnie pewnym mężom sposobność do paradowania poraz setny w stroju narodowych proroków. Doprawdy nietrudno być prorokiem, gdy z góry można wszystko przewidzieć. Przyznać jednak trzeba, że p. Suworyn rzetelnie pracował i rzekome zwycięstwa odniósł zasłużenie. Bo to naprzód zaczął ośmieszać cały projekt, to znów rozżarzał narodowe uczucia, to bawił się winsynuacye, a nakoniec wywołał nieszczęśliwy cień Turgeniewa, o którym jakoby nic Spielhagen nie wspominał w swoim czasopiśmie. A rzeczywiście powodów do wyśmiewania tej całej epopei było dosyć, bo wyszedłszy z fałszywego założenia, popełniano mnóstwo niestosowności.

Spotkanie na dworcu wypadło nieosobliwie. Wszelkie przygotowane hołdy byłyby stosowne, gdyby tło obrazu stanowiła poważna liczba uczestników; tymczasem widziałem tylko kilkunastu ludzi udających zapał i silących się na mdłe przemówienia. Dziwna rzecz, jak wogóle niekorzystnie wydawały się wobec jędrnych i pełnych myśli słów samego Shielhagena, mowy pp. literatów: formalnie nikt nie mógł zdobyć się na coś, przechodzącego zakres zdawkowych frazesów i określić jasno powodu do owacyi. Wszyscy niejako mieli minę dzieci, które zanadto sobie pozwoliwszy, udają potem, że to tylko były żarty. Wątpię też bardzo, czy Spielhagen rzeczywiście wyniósł tak miłe wspomnienia z nadnewskiej stolicy, jak mu to grzeczność twierdzić kazała.

Powiadają, że wyjechał z jakimś stereotypowym zastygłym uśmiechem, a ułożył zapewne tak twarz od chwili, gdy ojcowie miasta przyszli do niego urzędownie z propozycyą pokazania nowej rzeźni, a francuski hotel, w którym wyprawiono obiad dla gościa, ozdobił swoje objadowe karty wizerunkami głów świńskich uwieńczonych laurem. Ach, te głowizny uwieńczone posłużyły za temat dla całej kliki humorystów, również jak wieniec złoty oburzył ekonomistów. Trzeba było aż świadectwa od jubilera, aby dowieść, że za ów wieniec zapłacono i zapłacono nie z funduszów towarzystwa pomocy dla biednych literatów, lecz z prywatnych składek. Łajano przytem ciągle wnioskodawców, że ponoszą koszta na jakieś owacye wtedy, gdy jest tyle potrzeb ważniejszych. Zwrotka ta przypominała znaną anegdotkę o palącym i niepalącym cygar. Co p. Michelson winien, że fundusze towarzystwa udzielania zapomogi biednym literatom są szczupłe? Czy gdyby nie uczczono Spielhagena, ktoś by złożył te pieniądze na inny, lepszy użytek? Gość zaś, biorąc udział w literackim wieczorze, starał się powiększyć ten fundusz, jeżeli zaś rezultat był bardzo nieznaczny, to znowu nie jest to jego winą. Sam Spielhagen nazwał siebie w Petersburgu sową między innymi ptakami; porównanie mogłoby być trafniejsze.

W. Ż.

*) Przypominamy czytelnikom, że magistrat Petersburga na wniosek jednego z członków postanowił (a potem unieważnił swą uchwałę) uroczyście powitać Spielhagena. To dało powód głodnym dziennikom do ostrej polemiki.

ŹRÓDŁA CHOLERY.

Jak wiadomo czytelnikom naszym prof. Koch, doszedłszy do wątpliwego rezultatu swych badań nad cholerą w Egipcie, udał się z polecenia rządu niemieckiego do Indyj Wschodnich. Stamtąd nadesłał on szereg raportów, w których zawiadamia o ważnych odkryciach, zarazków cholerycznych (gatunek odrębnej postaci laseczników rozmnożonego we wnętrznościach). W ostatniem doniesieniu przesyła nowinę może najciekawszą, mianowicie, że udało mu się wyśledzić miejsce pobytu *baccillusa* (zarazka) zewnątrz ciała ludzkiego i drogę, którą on się do organizmów ludzkich dostaje. Oto odnośny ustęp listu z Kalkuty:

„Jest to faktem uderzającym, że cholera nawet w swym obrębie endemicznym przywiązuje się bardzo często do pewnych miejscowości i tworzy w nich niewątpliwie i wyraźnie odgraniczone epidemie. Zauważono je zwłaszcza w okolicach t. z. *tank'ow.* Dla objaśnienia dodać należy, że owe po całym Bengalu w niezliczonej ilości rozpostarte tanki, są to śród chat stawy i bagna, dostarczające mieszkańcom wody do wszelkich użytków: kąpieli, prania, mycia i napoju. Rozumie się, że wobec tak wielostronnego przeznaczenia woda w tanku musi być zanieczyszczoną i nie może odpowiadać warunkom hygienicznym. Ale nadto nieraz zdarza się, że kloaki — jeżeli zbyt pierwotne urządzenia wolno nazwać tem mianem — stoją nad brzegiem tanku i służą wogóle za skład wszelkich a zwłaszcza ludzkich nieczystości. Skutkiem tego tanki zawierają mocno zanieczyszczoną wodę i w tych warunkach jasnem jest, że lekarze miejscowi upatrują łączność między cholerą naokoło owych bagnisk a złemi własnościami ich wody. Epidemie te nie są rzadkie i każdy lekarz, posiadający doświadczenie, zna wiele przykładów. To też teraz od początku zwróciłem uwagę na ten punkt i prosiłem *Sanitary Commissioner with the Governement* o uwiadomienie mnie, gdy taka epidemia pojawi się w niezbyt wielkiej odległości od Kalkuty. Jakoż tego rodzaju fakt zdarzył się w ostatnim tygodniu. Doniesiono o wielu wypadkach cholery z Saheb Bagau, należącego do Baliaghatta — przedmieścia Kalkuty. Choroba zamknęła się wyłącznie w obrębie chat naokoło tanku, zamieszkałych przez kilkaset ludzi. Umarło 17 osób, podczas gdy w pewnej odległości od stawu i w całym okręgu policyjnym cholera wcale nie panowała. Godnem uwagi jest, że w tymże miejscu ostatniemi laty grasowała ona nieraz. Komisya zajęła się starannie zbadaniem początku i przebiegu epidemii, przyczem okazało się, że tank zwykle był używany przez mieszkańców do kąpieli, prania i picia i że w nim płukano odzież zmarłych, zanieczyszczoną wydzielinami cholerycznemi. Następnie zaczerpnęliśmy w różnym czasie i z rozmaitych miejsc stawu potrzebną ilość prób wody, zbadali ją i znaleźliśmy baccille cholery w wielu pierwszych dość obficie. Przy próbach późniejszych, czerpanych na końcu epidemii, tylko jedna, wzięta ze szczególnie zanieczyszczonego miejsca tanku, zawierała baccille choleryczne, ale w bardzo małej ilości. Jeżeli uwzględnimy, że dotąd w licznych próbach wody tanku, rzecznej i innej na zanieczyszczenia wystawionej daremnie szukano baccillij cholerycznych i że one po raz pierwszy ze wszystkiemi charakterystycznemi własnościami znalezione zostały w tanku otoczonym przez epidemię, rezultat ten przedstawi nam się bardzo ważnym. Jest niewątpliwem, że woda w tanku zarażoną była przez bieliznę choleryczną, według dawniejszych spostrzeżeń najbardziej bogatą w baccille, dalej, że mieszkańcy z nad tych stawów używali zakażonej wody do celów domowych a zwłaszcza do picia. Mamy więc tu przed sobą niejako przypadkowy eksperyment na ludziach, który wynagradza brak doświadczenia na zwierzętach i jest dalszem potwierdzeniem słuszności hipotezy, że osobne baccille cholery stanowią rzeczywiście przyczynę choroby.“

Wobec strachu, który od lat kilku niepokoi Europę widmem strasznej zarazy, badania i wnioski Kocha mają szczególną wa-

gę, chociażby w nich nieraz tkwiła wątpliwość i zbyt śmiałe przypuszczenia.

LIBERUM VETO.

Koszary na miejscu Parnasu i Akademii. — Co widać i co słychać. — Niezdrowy czas. — Praca ducha i praca dynamitu. — Zniesienie jednego przykazania. — Temat dla obecnej humorystyki. — Europa nago. — *Nowoje Wremia* jako pedagog wieku. — Patrzący na gwiazdy. — Bankructwa. — Gnicie kapitalizmu. — Środki przeciw odklejaniu marek i oszustwu z biletami. — Zasady etyki jako dar noworoczny. — Książka dla dzieci. — Wara! — Różne gusty.

Gdzie Parnas — gdzie Akademia, lub Stoa lub ogród Epikura? Widać natomiast koszary i uwijających się koło nich spiskowców z paczkami dynamitu. Dziś w Europie słychać tylko rytm musztrujących się wojsk, komendę reakcyi, dzikie groźby głodnych, szepty sprzysiężonych i hukmin. Żaden śpiew poety nie czaruje ludzkości, żaden głos mędrca nie rozpala na jej drodze świateł nowych. Żyjemy w epoce, w której uczucia spokojne nikną, rozum ślepnie, tylko zęby zgrzytają. Wychodzą nowe książki, ukazują się nowe dzieła sztuki, ale nie mają one już siły do wstrząśnienia światem, lub on zdolności do drgnięcia przed niemi. Wszystkich owładnęła obojętność na pracę ducha, który w pijaństwie i szałach rodzi dzieci wątłe, skrofuliczne i ułomne. Okropny, niezdrowy czas! Piersi oddychają zemstą, głowa mroczy się gniewem, serce uderza namiętnościami. Na stu ludzi rozsądnych nie wypada jeden, któryby badał trzeźwo i sądził sprawiedliwie. Narody i żywioły społeczne już nie bratają się, nawet nie kłócą, ale warczą przeciw sobie, wyją, gryzą się jak rozjuszone zwierzęta. Po nad Europą ciągle przelatują jakieś złowrogie race lub na jej sklepieniu odbijają się łuny pożarów. Przyłóż ucho do ziemi — usłyszysz jęk, wściekłe i rozpaczliwe krzyki. Tak niedawno, bo lat temu kilka brzmiała wrzawa rozpraw nad twierdzeniami Comte'a, Darwina, Haeckla, Taine'a, zajmowano się wykopaliskami Schliemanna lub odkryciami Pasteura; dziś, z każdym dniem bardziej: bezrobocia, zmowy robotników, płace fabryczne, a nadewszystko dynamit karmi uwagę ogółu. Pomało, jak na wojnie, tracą moc prawa moralne, a wszystkie czyny równają się z sobą w wartości. Wysadzenie w powietrze pociągu kolei z kilkoma setkami niewinnych ludzi uważanem jest za czyn bohaterski. W Wiedniu anarchiczni socyaliści mordują nietylko policyantów, którzy ich ścigali, ale wekslarzów i szewców, którzy mieli pieniądze. Zabijać — zabijać — i zabijać. Piąte przykazanie dekalogu zniesione. Wkrótce już rysownicy nie będą w pismach humorystycznych przedstawiali chłopczyków palących papierosy, ale nabijających rewolwery. Bo nawet najspokojniejsi i najbojaźliwsi marzą o tępieniu ludzi. Ci pragnęliby zniszczyć kilka milionów pewnej klasy społecznej, tamci — kilka milionów pewnego narodu. Co najmniej — kilka milionów! Już i dzieci, bawiąc się, ustawiają sobie z krzeseł maszyny, mające odrazu zabijać całe korpusy wojska. Czyż tak źle z sobą rozmaitym stanom i narodom? Czy wzajemna ich nienawiść natężyła się tak strasznie, że tylko w walce na śmierć znajduje dla siebie nasycenie? Zapewne, ale chociażby nawet przed naszemi oczyma spełniała się nieubłagana konieczność, jest ona straszną. Straszną dla współczesnych jest owa pora, w której głowa Minerwy zamienia się na wężowy łeb Meduzy, w której milkną szlachetniejsze uczucia i głębsze myśli, a tylko na ołtarzu boga zemsty odbywają się nieprzerwane całopalenia. Wnuki lub prawnuki obecnych pokoleń może skorzystają z tych zgrzytań, skoków do gardła, uderzeń, wybuchów i morderstw, ale my skazani jesteśmy na oglądanie natury człowieka ze strony najbrzydszej. Europa obnaża się, pokazuje swój bezwstyd, swoje trądy i rany.

A cóż my robimy, my w swojem małem gniazdku na wielkiem drzewie świata cywilizowanego? My tulimy głowy przed jastrzębiami, wsłuchujemy się w odgłosy walki, a także — czytamy *Nowoje Wremia* i... bankrutujemy. Szanowna gazeta czuje niepohamowaną chęć rozdzierania: śledzi, kurcząt, owiec — całych narodów. Staje przed nami, ogląda ze wszystkich stron, rewiduje, mruczy, grozi, wreszcie krzyczy: „Wy, wy... patrzycie na gwiazdy!“ My milczymy, ona unosząc się, wrzeszczy: „Na gwiazdy? Patrol!“ Czcigodne, zacne *Nowoje Wremia!* Czyż ci zbrakło śledzi, kurcząt, owiec? Kant przy wykładach darł tylko pióra — ale prawda, on inaczej pojmował „rozum praktyczny.“ Bądź co bądź, pamiętaj, że gdy kiedyś — jak mówi Börne — zostaniesz zardzewiałą tarczą i wołać będziesz do słońca: daj mi blasku! — ono ci odpowie: wprzód oczyść się!

I bankrutujemy. Dlatego właśnie karnawał był tak hucznym. Kpem nazywał się ten, kto przynajmniej raz nie wyprawił balu z tańcami do białego dnia i winem do syta. Pod koniec zapust nie brakło nawet poświęceń: zaczęto urządzać „wieczorki wełniane.“ Jeżeli żony i córki tureckich świętych nie w jedwabiu składają ofiary Terpsychorze — to przecież jest w tem dużo zasługi. Wyhulawszy się w stolicy i na prowincyi, gęściej niż przedtem bankrutujemy — wszyscy, już nietylko kupcy i przemysłowcy, ale ziemianie, rzemieślnicy, arystokraci — gromadą. Przodem idą łotry i marnotrawcy, za nimi nieszczęśliwi, w końcu, pociągnięci w otchłań przez jednych i drugich, bogaci. Grunt pod nogami zwolna obłamuje się, aż wreszcie pozostaje krawędź cienka, jak ostrze noża, na której jedni balansują, drudzy z niej spadają. Gdzie koniec? Albo ja wiem. Taki lub inny plaster łagodzący złego nie wyleczy. Kapitalizm gnije i gnić będzie pomimo wszelkich środków dezinfekcyjnych, bo czerpie swe soki ze złych instynktów ludzkich, będących konieczną przymieszką tego materyału, z którego natura lepi człowieka.

Są lekarze, którzy szczerze wierzą, że jeśli podręcznik medycyny dla pokonania gorączki radzi dać chininy, chinina musi ją usunąć. Rzeczywiście usuwa — albo nie, chociażbyśmy zapisywali ją nie w granach, ale w korcach. Dostrzeżono, że konduktorzy tramwajów popełniają nadużycia przy sprzedaży biletów i zalecono... lepszy dozór. O, naiwności, tak szybko znikasz, że każdy ślad twych lotnych stopek jest mi drogim! Jeśli kto mówi: najlepszym sposobem oduczenia poczthaltera, ażeby nie odklejał marek i nie niszczył listów, jest złapanie go na gorącym uczynku i wsadzenie do kozy — to natychmiast widzę odcisk owej naiwności, która nie przypuszcza, że jeszcze lepszym sposobem byłoby podwyższenie pensyi winnemu. Podobnie z konduktorami. W ciepłym pokoju i z pełnym żołądkiem łatwo uczyć moralności, ale proszę po kilkanaście godzin codziennie jeździć tramwajem w zimna i upały za 30 rs. miesięcznie, których znaczną część oskubują kary! Towarzystwo tramwajowe prowadzi względem swych oficyalistów nielitościwy wyzysk, zmuszając ich po prostu do nadużyć.

— A bilet? — upomniałem się raz u konduktora.

— Na co panu? — spytał.

— Dla ścisłości.

— Ach, gdybyś pan wiedział, jakich ja doznaję ścisłości, mając nieraz kilkanaście rubli miesięcznie! Dorożkarz zrysuje wagon — płać, koniafurman uderzy — płać, poduszkę ktoś rozedrze — płać, co zostanie?

Nie probowałem odejmować, a raczej uczułem chęć odjęcia nieco zysków Towarzystwa na korzyść jego murzynów, którzy powinni mu za składkowe pieniądze w darze noworocznym kupić... *Zasady etyki* Spencera.

Spółka nakładowa ma wydać pod koniec tego roku książkę dla dzieci. Ponieważ nie posiadamy wybitnych do takiej pracy talentów, wydawcy więc zaprosili stu kilkudziesięciu znanych pisarzów polskich do złożenia ofiar dla dzieci. Powieściopisarz, poeta, uczony, chociaż temu rodzajowi literatury sił swoich nie poświęca, jednakże przy dobrej woli potrafi przemówić do młodocianych czytelników bajką, powiastką, wierszykiem lub przystępną lekcyą. Będzie to zbiorek ciekawy, oryginalny i — mam nadzieję — znakomity. Obok Kraszewskiego, Jeża, Orzeszkowej, Morzkowskiej, stanie Prus, Bałucki, Bliziński, starsi i młodzi, w długim szeregu ludzie talentu i zasługi otoczeni dziećmi. Jeżeli do takich słuchaczów przemawia Tyndal, czemużby nasi pisarze zająć ich nie zdołali? Jest to nietylko możliwość, ale i obowiązek. Pierwsza nauka nie jest zadaniem tak małoznacznem, ażeby je powierzać partaczom, bezmyślnym bajarzom i mdłym rymopisom.

Jakkolwiek książka jeszcze nie gotowa i jakkolwiek wezmą w niej udział autorowie najpowszechniej szanowani, już jakiś konik świętej rodziny zdążył w jednem z pism kopnąć wydawców i „ostrzedz“ społeczeństwo. Wara od dzieci! — woła. Od czyich? Od *twoich?* A któżby *twoje* owoce, szanowny mężu, chciał daleko odrzucać od jabłoni. Niech dojrzewają i spadają, jak ich ogrodnikowi się podoba. Ale nawzajem wara od *naszych!*

Odmienny gust nas nie dziwi. Jeżeli znalazła się kucharka w Wiedniu, którą oczarował Schenk i która woła obecnie: „wara od jego głowy, dam swoją,“ to dlaczegoż by nie miał się znaleść amator, który do Kraszewskiego, Jeża, Lubowskiego, Prusa itd. wrzeszczy: „wara od *naszych* dzieci, ja je będę uczył!“ Co za *ja?* Może zna jego imię — zoolog.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wiosna podobna do panienki. — Kto winien, że drogi nasze niemożliwe są do przebycia. — Nowy rodzaj sprzedaży zboża na pniu. — Dwaj szlachcice — płocki i kielecki — Gospodynie litewskie. — Bendzińskie papiery. — Przeciwdziałanie pijaństwu. — Sprzedaż żony. — Źle zaadresowany morał. — Album etnograficzne.

O rozkochana, śniąca, rozmarzona,
Do życia wciąż się uśmiecha wesoła.

Woła w uniesieniu poeta z *Gazety lubelskiej* nie do jakiejś hożej dziewoi — jakby mógł sądzić niedomyślny czytelnik — ale do wiosny. Do wiosny, która „księżyc mami z wyżyn lazurowych.“ która *„wszystko* by rada przycisnąć do łona.“ Dziwna to być musi ta lubelska wiosna, co „pląsa, życie pokładając (?) w śpiewie i czego pragnie — sama dobrze nie wie.“

Oj figlarka pieszczotka,
Niby kocha — nie kocha,
Niby zwodzi — nie zwodzi,
Niby pragnie — odpycha,
Niby nie chce — a wzdycha.

Słowem, podobieństwo jej do panny nieokreślonego temperamentu jest najzupełniejsze.

Nie tak może poetyczną, ale również niestałą jest tegoroczna wiosna we wszystkich okolicach kraju. Zmienny humor tej figlarki najbardziej daje się we znaki drogom;

o opłakanym ich stanie dochodzą nas żałosne wieści. Jakiś „wiarus z myszynieckiej puszczy“ opowiada w *Gazecie świątecznej*, że na kurpiach niema ani mostów, ani drogoskazów na gościńcach; przejeżdżający łamią wozy i topią konie. Chcąc przejeżdżać lub przechodzić przez mosty, trzeba rozbierać się niemal do naga, a po takiej kąpieli zwykle następuje febra, tyfus, zapalenie płuc i w rezultacie najczęściej, rozumie się, śmierć. Naiwny korespondent jeszcze tłomaczy, że mieszkańcy nie są temu wcale winni „boć my regularnie składkę na utrzymanie tych dróg płacimy. Ale są tacy co tylko piją, jedzą i w karty grają a o swe obowiązki najmniej się troszczą, my zaś cierpieć przez nich musimy...“

W gorszem położeniu znaleźli się mieszkańcy Kowla i jego okolicy, chociaż mogą się tem pocieszyć, że dla nich kwestya: kto winien—przedstawia się zupełnie jasno. Tu już winnymi okazują się nie owi mityczni, „którzy jedzą piją i w karty grają a o swe obowiązki najmniej się troszczą,“ ale osoby realne, które, co prawda, także jedzą, piją, grają w karty i nie troszczą się o spełnienie obowiązku. Zawiadowca stacyi Kowel telegraficznie doniósł zarządowi dróg południowo-zachodnich, żejedyna droga, prowadząca od stacyi towarowej do miasta, zepsuła się zupełnie. Wozy i konie toną w błocie. Zarząd miejski na odezwę policyi o naprawę odpowiedział odmownie, twierdząc, że nie znajduje się ona na planie miejskim a więc *nie powinna istnieć*. Ze swej strony „isprawnik“ dla zapobieżenia nieszczęśliwym wypadkom kazał w dwóch miejscach przekopać rowy. Tym sposobem komunikacya między stacyą towarową i miastem została ostatecznie przerwaną.

Grozę tej wiadomości odczuje w należytym stopniu ten tylko, komu znajome są błota i drogi poleskie, na których nawet w lecie po deszczu można się nieraz utopić a przynajmniej zagrzęznąć. Dodać należy, że w Kowlu ruch towarowy jest bardzo znaczny, bo z miasta tego rozchodzą się koleje do Kijowa, Brześcia i Warszawy.

Fatalny stan dróg w południowo-zachodnich guberniach utrudnia rolnikom zbyt ziemiopłodów. Wpadli też oni na dowcipny pomysł, uwalniający ich od wszelkich kłopotów gospodarskich — sprzedają zboże na pniu. Słyszę już protesty obywateli lubelskich, podlaskich, kaliskich i innych, którzy z oburzeniem żądają przyznania sobie pierwszeństwa tego wynalazku. Uspokójcie się, szanowni panowie. Współbracia wasi z nad Dniestru i Bohu wymyślili rzeczywiście zupełnie nieznaną kombinacyę, bo sprzedają zboże hurtem, morgami, wraz ze słomą, wkładając na kupującego obowiązek zbioru. Zwykła cena dziesięciny obsianej przenicą wynosi 25 rubli. Jest to pewien rodzaj asekuracyi na wypadek nieurodzajów, gradu itp. klęsk, ale czy korzystnej dla właściciela — to inna kwestya. Szlachcic cieszy się, że okpił żyda, bo nabywcami są izraelici, ale ponieważ ci ostatni złych interesów nie zwykli robić, nie bardzo zatem wierzę w powodzenie tego nowego sposobu sprzedaży zboża.

Już to przedsiębiorczość handlowa nie leży widać w charakterze szlachty. Poprzednio opisywaliśmy oryginalną logikę ziemian płockich, popierających prywatny dom komisowy; teraz korespondent miejscowej gazety z rypińskiego donosi, że i tamtejsza spółka odroczyła swe czynności dla braku potrzebnego kapitału, przy czem jako ciekawą ilustracyę przytacza fakt, że jeden z mieszkańców przegrał właśnie w karty pół miliona, wprawdzie na szczęście tylko złotych. Bądź co bądź, dosyć to pokaźna sumka i wystarczyłaby zapewne dla rozpoczęcia działań spółki. Na takich filarach wspierająca się budowa trwałą być nie może.

Lekkomyślnego panka czeka zapewne los kieleckiego towarzysza, którego poruczającą biografię opowiada *Tydzień* piotrkowski. Pan X. (pod tym względem jesteśmy delikatni i tylko drobnych szkodników nazywamy po imieniu, zakrywając wielkich figowym listkiem pseudonymu) odziedziczył po rodzicach spory majątek. Zaraz po objęciu rządów zaciągnął od miejscowego pachciarza sporą pożyczkę, którą całkowicie strwonił. Po roku nadszedł termin wypłaty, X. sprzedał zboże na pniu, ale ponieważ wierzyciel zgodził się czekać, wyjechał z pieniędzmi przewietrzyć się za granicę, zwiedził Paryż i Monaco i powrócił bez grosza. Kilka podobnych wycieczek zrujnowało milionową fortunę. Rządca, stary sługa, który upominał dziedzica, wyrzucony został na bruk. Działo się to w roku zeszłym — a przed kilku tygodniami 14 marca były pachciarz nabył cały majątek. Pan X. pozostał bez grosza i udał się do nowonabywcy z prośbą o przyjęcie go na rządcę. Ale p. Dawid odpowiedział mu, że obiecał już tę posadę wydalonemu rządcy, bo odpowiedniejszego człowieka z pewnością nie wynajdzie, panu zaś choć niezasłużenie dał na pierwsze potrzeby życia 25 rubli. X. wziął je, wyszedł i... osiadł w karczmie w tejże wsi, gdzie od dni kilkunastu szuka pocieszenia. Polecamy uwadze antisemitów tę nową ofiarę żydowskiego ucisku.

Z obawy widać zastawianych przez pachciarzy sieci wielu obywateli na Litwie postanowiło się pozbyć tych pośredników i zająć się produkcyą masła i serów na własne ryzyko. Kierownictwo tej gałęzi gospodarstwa z natury rzeczy i z tradycyi należy do kobiet. Ale „piękne gosposie“ nawet w tej sferze zajęć dowiodły zupełnej nieudolności. Korespondent wileński *Wieku* pisze, że w wielu majątkach wyrabiane masło okazało się niemożliwem do użytku i obrócone zostało na smarowidło. Kości przeróżnych *Kucharek* i *Gospodyń* litewskich z oburzenia przewróciły się chyba w grobie na to zaniedbanie tradycyi.

Ależ czy takie tylko drobiazgi marnują się u nas! Mieszkańcy Będzina na zasadzie ogólnego prawa górniczego mają zapewniony 1% od wydobywanego na ich gruncie węgla. Kompania francuska, korzystając z ich niezgody i z nieznajomości praw, żadnych obrachunków nie robi, ale czując, że z czasem może mieć z tego powodu kłopot, dowolnie obliczyła procent na 12,000 rs. Tymczasem świadomi rzeczy utrzymują, że należy się miastu około 100,000 rs. Niezgoda panująca wśród mieszczan nie pozwala im na przedsięwzięcie energicznych starań, a wikłają stosunek jeszcze zabiegi tych, którzy chcieliby ponabywać za tanie pieniądze prawa pojedynczych właścicieli. Z funduszu tego skorzystaliby nietylko posiadacze gruntów, ale i całe miasto; cóż kiedy na odpowiednie kroki nikt się zdobyć nie może! Wyznając ze skruchą swoją niezaradność, obywatele Będzina zamierzają prosić władzę, aby na ich koszt wyznaczyła komisyę, któraby zbadała kwestyę i zajęła się wyegzekwowaniem należności. Smutniejszego świadectwa niepodobna samemu sobie wystawić!

Bywają jednak takie okoliczności, w których i energia niewiele pomoże. Oto np. właściciel Opola postanowił znieść w miasteczku szynki, a na miejscu ich zaprowadził gospody, w których oprócz trunków znaleźć można herbatę i ciepłą strawę. Utrzymujący te zakłady złożyli deklaracye, że nie będą dawali wódki na kredyt, ani też w nadmiernej ilości. Tymczasem dawniejsi szynkarze otworzyli potajemną sprzedaż wódki i żeby nie płacić patentu, każdy z nich sam siebie denuncyował do akcyzy lub policyi. Dowcipna ta kombinacya polega na tem, że według przepisów donosiciel otrzymuje połowę wartości patentu jako nagrodę, przeto każdy z potajemnych szynkarzy zyskuje w dwójnasób: jedna połowa zostaje w jego kieszeni, a drugą zapłaci wtedy dopiero kiedy ukończy się sprawa, która trwać może lata całe. W czasie biegu procesu szynkarze żydzi swobodni są w działaniu, nowej sprawy nikt im nie wytoczy, każda bowiem byłaby połączona z pierwszą, bez zwiększenia odpowiedzialności pieniężnej. Korzystając z tego stanu rzeczy tajemny szynkarz sprowadza okowitę jawnie, za kwitami przewozowymi. W ciągu zeszłego roku właściciel miasteczka i propinacyi sprowadził 142.176 stopni, a żydzi 124,805, za legalnymi kwitami, nie licząc defraudowanej. W miasteczku istnieje 27 tajnych szynków, sprzedających wódkę w biały dzień. Bądź tu mądrym i przeciwdziałaj pijaństwu!

Nie wiem już w jakim, w legalnym, czy tajemnym szynku jednej ze wsi zwenigrodzkiego powiatu od kilku tygodni ożeniony włościanin sprzedał po pijanemu świeżo poślubioną małżonkę za poł oką wódki (co wynosi 35 kopiejek). Tanio — nieprawdaż, ale dodać należy, że sprzedał ją nie na zawsze, tylko na czas postu, podczas którego gorliwi chrześcianie wstrzymać się winni od stosunków małżeńskich dla skuteczniejszego umartwienia ciała. Małżonka na handel ten nie zgodziła się; kto wie jednak, co by się stało, gdyby w obronie jej nie wystąpił teść. Staruszek w dotkliwy sposób przekonał syna o niemoralności takiej tranzakcyi i zmusił go do zerwania umowy. Wykupienie żony kosztowało jednak drożej, bo nabywca zażądał odstępnego pięć razy więcej.

Gazeta świąteczna zamierza wydać album etnograficzne i w tym celu wzywa swoich czytelników, żeby w wiejskich strojach zgłaszali się do redakcyi, gdzie ich bezpłatnie odfotografują.

Pomijając już ograniczony zakres naszego ludoznawstwa, które po za opis obrzędów, kostiumów i spisywanie piosenek wyjść dotąd nie może, wątpimy, czy pomysł jest praktycznym. Trudno wymagać, żeby ubodzy czytelnicy *Gazety* odbywali specyalną podróż do Warszawy, chociażby ich tam nawet darmo fotografowano. Album nie będzie kompletnem, czyli innemi słowy — nie będzie miało żadnej prawie wartości.

Nil.

Brześć. Wykryto tu całą bandę złodziei, złożoną z małoletnich. Kierował nią niejaki Młotek, który rekrutował ich z dzieci przywożonych do miasta i porzucanych przez rodziców: Większość przestępców nie miała nawet 10 lat wieku.

Tomaszów. Miejscowi przemysłowcy, starający się gorliwie o otwarcie filii banku państwa, zawiedli się nieco. Instytucya ta udzielać ma tylko pożyczki na zastaw towarów i papierów wartościowych. Otwarcie interesu wekslowego odłożono na później.

Dąbrowa. Jeden z inżenierów odebrał posyłkę, wyglądającą nieco podejrzanie, tak przynajmniej mu się zdawało. Przekonany, że wewnątrz znajduje się dynamit i że ktoś chciał uczynić zamach na jego życie, przedstawił ją władzy. Po otwarciu paczki okazało się, że wewnątrz znajdowała się — próbka węgla kamiennego.

Płock. Blisko sto bon niemek zamieszkałych w gub. płockiej wysłało adres do ces. Wilhelma z okazyi jego urodzin.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 9 kwietnia.

Polityka kolonialna Francyi. — Wniosek Barodeta. — Kłopoty angielskie. — Sprawy bałkańskie. — Wicekról Norwegii.—Tryumf delegacyi galicyjskiej.

Rząd francuski zaczyna rozwijać politykę kolonialną na wielką skalę. Izba olbrzymią większością głosów wyraziła mu zaufanie w kwestyi madagaskarskiej, a nawet

przyjęty przez nią porządek dzienny zaleca energiczne działanie. Oprócz tego zamierza Francya zająć kilka punktów na wybrzeżach morza Czarnego i zawiązać bliższe stosunki z Abisynią. W gazecie *Liberté* zjawił się artykuł, noszący wszelkie cechy półurzędowego komunikatu, który telegraficznie posłowie różnych państw posłali swym rządom. Artykuł ten porusza znowu sprawę związku ludów łacińskich, ograniczając go wszakże tylko do polityki kolonialnej. Sfera działalności każdego z państw ma być ściśle oznaczoną: Włochy otrzymają Trypolis, Hiszpania — Marokko, a Belgia — basen Congo. Niema kwestyi, że Francya posiada sympatye we Włoszech i Hiszpanii, chodzi tylko o umiejętne ich wyzyskanie, zresztą nowy związek spotka i inne przeszkody. Oprócz Niemiec, dla których w przyszłości stanowić może poważną groźbę, przeciwną byłaby mu i Anglia.

W Tonkinie zapanował względny spokój, tak że nawet część garnizonu może być odesłaną i prawdopodobnie użytą będzie w Madagaskarze.

W Izbie deputowanych Barodet w imieniu radykalnej partyi postawił wniosek rewizyi konstytucyi, żądając przyznania jego nagłości. Podczas rozpraw zabrał głos Ferry, twierdząc, że rząd pragnie również przejrzenia konstytucyi, ale natychmiastowej potrzeby przystąpienia do tego działania nie widzi. Radykalnej partyi chodzi w danym razie nie o poprawę, ale obalenie konstytucyi. Wniosek Barodeta został odrzucony. głosowało wszakże za nim przeszło 200 deputatów.

Polityka angielska w Sudanie staje się coraz bardziej zagadkową. Ani objaśnienie Hartingtona, ani mowa samego Gladstone'a nie wyjaśniła parlamentowi, czego właściwie rząd chce. Oświadczył on jedynie, że udzielenie pomocy Gordonowi uważa za swój obowiązek, ale czy go spełni, to inna rzecz, bo łatwo bardzo może mu zabraknąć czasu. Położenie Chartumu jest podobno rozpaczliwe.

Tymczasem „niezwyciężeni" irlandczycy podnoszą znowu głowę. Świeżo w Dublinie odkryto spisek, mający na celu wysadzenie warowni Mount Joy i uwolnienie osadzonych w niej więźniów. Nowy organ partyi, charakterystycznie nazwany *Dynamit-Monthly*, oznajmia, że irlandczycy działać będą głównie za pomocą środków wybuchowych, „ale w pewnych razach kulą i sztyletem nie pogardzą."

Niedługo upływa pięcioletni termin rządów Aleko-paszy w Rumelii wschodniej. Kwestya wyznaczenia jego następcy wiąże się ściśle ze sprawą połączenia tej prowincyi z Bulgaryą. W Sofii odbył się wielki meetyng, który uchwalił rezolucyę, żądającą połączenia wszystkich bulgarów. Dażenie to cieszy się poparciem niektórych mocarstw i urzeczywistnienie jego wywołać może nowe zawikłania w polityce międzynarodowej.

W Serbii rząd opracowywa projekt nowej konstytucyi; ogranicza on sferę działań policyi i rozszerza kompetencyę sądów oraz prawo osobistej swobody obywateli.

Zatarg korony z przedstawicielami narodu w Norwegii został załatwiony. Król mianował następcę tronu wice-królem, a ten już wybrał nowych ministrów.

Delegacya galicyjska, maltretowana w ostatnich czasach otrzymała od rządu nowy dowód łaski. Ustawa o gorzelniach ułożoną będzie zgodnie z jej żądaniami. Za tę cenę rząd na pewien czas otrzyma znowu nieograniczone poparcie. Rozumie się, że o innych ustępstwach nie ma już teraz mowy.

CUDZE GŁOSY.

Pater noster. Korespondent *Wieku*, rozbierając artykuł *Rusi* o ukrainofilstwie i przypisek p. Aksakowa, twierdzącego, że „ukrainofile są po prostu niewiadomem narzędziem w ręku gardzących nimi z całej duszy polaków, pisze:

„Jeżeli prawdą jest, że Mała Ruś objawia dążność do wyosobienia się, to my możemy odgrywać w tem tylko rolę bierną i to wcale niedobrowolnie przyjętą. Niechaj tylko bezstronne umysły rozważą cały szereg krzywd nieszlachetnych, wyrządzanych nam przez zapamiętałe stronnictwo szczujących i pomstujących? Ile lat stronnictwo to raczy identyfikować siebie z Rosyą, z narodem rosyjskim, przedewszystkiem zaś z Wielką Rusią, niby macierzą wszechsłowiaństwa, która wzięta jako całość, jako naród, jest obca tym napaściom. tym krzywdom, Bogu ducha winną? Uchodzi przecież za tę krzywdzicielkę, dzięki manewrom rzeczonego stronnictwa; i jeżeli kiedy, to tutaj rzec można, że dźwiga ona tę plamę *nieświadomie*, bo jakby rozejrzała się w brzydkiej roli, jaką odgrywać jej każą, może także chciałaby zażegnać się i wyprzeć tej roli upiora, ssącego żywotne soki z uśpionych, drzemiących i bezwładnych. Tutaj właśnie, głębiej, nie po wierzchu szukać należy przyczyn tak poważnego objawu społecznego. Miła jest jedność i solidarność w dążeniach, podjętych i przeprowadzonych szlachetnie, i tylko obłąkany lub zły naród od takiej solidarności się wymawia. Jestże Mała Ruś obłąkana lub zła? Ani jedno, ani drugie. A więc?... Więc wniknęła w siebie, dopatrzyła, że tam w duszy jej jest co innego; przypomniała sobie, jak słaby udział brała w tem, co nieraz w jej imieniu czyniono, roli tej dźwigać dalej nie myśli i od solidarności się wymawia; powiada, że jest inną, że jest odrębną. Wszystkie te objawy wiążą się i kombinują w sposób zupełnie prawidłowy, zgodny, konsekwentny, nie mający dla socyologa żadnej niespodzianki: chcę być sobą, nie życzę sobie, aby miano mnie za jedno z organizmem (kuzynek), z którym łączy mnie wprawdzie wiele, ale daleko więcej rozdziela... Nie krzywdzę, po cóż mam być uważana za krzywdzicielkę?

W tym procesie nic nie ma innego, i powiedzielibyśmy nawet, iż jest on koniecznem następstwem tych wielu, niestety, momentów w naszych polsko-rosyjskich stosunkach bieżącego stulecia, w których głosy pomstujących nad miarę przyjmowane były przez sfery rządowe za cenną gotowiznę patryotycznego zapału, krystalizując się nawet nierzadko w system przeprowadzany z całą surowością, tem dotkliwszą, że często niezasłużoną, zawsze przeholowaną. I dzisiaj, po dwudziestu latach spokoju, po dziesięciu co najmniej trzeźwej rozwagi, po wyrwaniu z naszej pamięci wielu cierni, wetkniętych i własną i obcą dłonią, a budzących goryczą i niechęć, dziś kiedy z biblijnym spokojem wyglądamy wzamian choćby upamiętania, też same głosy pomstują dwa razy, trzy razy, dziesięć razy silniej, niż przedtem. Mówimy bez zawiści; mówimy nawet nietyle o p. Aksakowie, który jest nieprzejednany, ale w dobrej wierze, ile o całej trzodzie, której on jest pasterzem. Głosy pomstujące, które stamtąd padają, oto przyczyna wszelkiego złego, oto przyczyna wszystkich waśni i nieporozumień przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. To są głosy krzywdzące, niegodne i jako takie szlachetnej solidarności obudzić niezdolne. Dla tego głosy podburzające do krzywdy coraz nowej są i będą przyczyną coraz nowych i niespodzianych porażek. To trudno; sumienie budzi się w widzach niezależnie od tego, czy w działających jest jeszcze uśpione. I niechaj dziś te głosy zamilkną i żadnego nie mają kursu i waloru, znikną objawy separatyzmu, które dziś są ich oczywistem i zasłużonem potępieniem. Ale, powtarzamy, *żadnego* kursu, *żadnego* waloru."

Strach ma wielkie oczy. Lotny Mołczanow, korespondent *Nowego Wremieni*, jednocześnie pisujący listy z Woroneża i Londynu, przybył do Wilna i bada teraz miejscowe stosunki. Okazuje się, że policya i żandarmi chodzili tam z zawiązanemi oczami, że urzędnicy zdradzali rosyjską sprawę, bo, doprawdy, aż strach, co się tam dzieje. (Powtarzamy za *Dn. warsz.*):

„Za granicami Rosyi, a często w jej granicach drukują się setki tysięcy (oj, oj!) egzemplarzy rozmaitych broszur, gazet, monografij i kazań, zwróconych do ludu żmujdzkiego i ruskiego i malujących „moskala" czarnemi farbami. Takiemi są: Kolwarie, Parspicymas, Litania (!), Brolej Katolikoj i setki innych. Wiedźcie litwini—powiada np. *Wargaj Bożniczes*—że moskale oddawna mają zamiar nawrócić was na swą wiarę i zrobić was moskalami. Zagraniczne gazety, otrzymując wiadomości o pastwieniu się nad wami moskali, krzyczą na nich, jak na wilków, ale moskale zakrywszy oczy i zatknąwszy uszy robią swoje. Wiedźcie litwini i żmudzini, że póki moskale pozostaną w granicach waszej ziemi, prześladowania nie ustaną."

Inna książeczka *Giwennimaj* fanatyzuje lud:

„Nastąpiły złe czasy—czasy prześladowań za wiarę, a więc czas szczególnej pobożności. Módlcie—każdy prześladowany za wiarę jest męczennikiem, każdy umierający za wiarę rzymsko-katolicką staje się świętym."

Parspicymas występuje znowu przeciw szkołom:

„Moskale dążą nie do tego, żeby nauczyć czego dobrego dzieci, ale do tego, żeby za młodu ich zepsuć, zrobić rozpustnikami i pijakami. Później takich nikczemnych i zepsutych ludzi łatwiej przeciągają na swoją wiarę."

Nie możemy zaręczyć, czy książeczki te istnieją i czy p. Mołczanow swoim zwyczajem nie dodał czegoś i nie przekręcił. Faktem jest jednak, że tajna literatura litewska istnieje. Pisały o tem i inne pisma rosyjskie i znajdowały przyczynę jej istnienia w zakazie drukowania książek litewskich alfabetem łacińskim. P. Mołczanow widzi przyczynę w „polskiej intrydze." Czytając te imponujące cyframi wiadomości o setkach tysięcy książek, o gazetach (?) i monografiach, nie możemy powstrzymać się od dumy: jacy to my sprytni, jacy potężni! W interesie własnym antagoniści nasi nie powinni pleść trzy po trzy o potędze tajemnych intryg i spisków, bo to łatwo trafia do romantycznych umysłów. A nuż na prawdę zaczną myśleć o „intrydze?"

WYKŁADY PUBLICZNE.

Ostatni poganie.

(W. Dzieduszycki).

W zastępstwie nieobecnego prelegenta p. Gawalewicz odczytem rozprawki p. Dzieduszyckiego zamknął wykłady publiczne na dochód Osad rolnych.

Usłyszeliśmy dość suchą i nic nowego niezawierającą opowieść o ostatnich filozofach pogaaizmu. Każdy obszerniejszy podręcznik dawno z nimi ukształceńszych czytelników poznajomił, a p. D. samodzielnego światła na przedmiot nie rzucił. Nie jest to bowiem badacz bezpośrednio zaglądający do źródeł wzrokiem bystrym, ale popularyzator, wierny sztandarowi pogromców starożytnego świata. Ale i w tym charakterze dawne odczyty p. D. o wiele przewyższały pogadankę obecną. Rzeczywiście sam materyał był wdzięczniejszym (stoicy, epikurejczycy itd.). Ostatnie chwile pogaństwa są już konaniem myśli schorzałej i wpływami nowonarodzonego mistycyzmu zwichniętej. Jest to majaczenie filozofii konającej, pogrążonej w widziadłach gorączkowej maligny.

Zauważyliśmy już dawniej, że przedmioty tegorocznych wykładów przeważnie leżały daleko po za naszem życiem i teraźniejszością. Ukazywano słuchaczom Japonię, Chiny, Persyę, Egipt lub świat klasyczny. Jakkolwiek wymówkę takiemu wyborowi uczynić by można, żegnamy prele-

gentów miłem wspomnieniem, bo nawet wtedy, gdy nużyli uwagę swych słuchaczów, dogadzali ich głębokim, z katedrą puliczną związanym uczuciom. *H.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Na scenie Teatru Wielkiego odegrano zleżały dramat Laubego *Hrabia Essex.* Essex, jak wiadomo, był faworytem Elżbiety, namiestnikiem Irlandyi a wreszcie ofiarą smoka w spódnicy — na tronie. Straciwszy łaski królowej, zginął pod toporem. Obfitą w zmiany treść życia tego bohatera autor wyzyskał bardzo — scenicznie. Jest to też efektowna robota znakomitego dyrektora teatru, któremu dyktuje tyrady średni pisarz. Lwich pazurów w tym utworze nie czuć, ale maszynerya wyborna P. Rakiewiczowa przedstawiła Elżbietę godnie, p. Kotarbiński Essexa uroczyście.

Koncert. W przyszły poniedziałek odbędzie się koncert już dziś znakomitego i znanego w Europie skrzypka p. Barcewicza. P. B. należy do nielicznych u nas ptaków artystycznych, którzy mimo swych wędrówek po szerokim świecie, trzymają się rodzinnego gniazda. Niestety, takie nastały czasy, że musimy to uważać za zasługę. Ofiarując chętnie swój smyczek na rozmaite cele dobroczynne, dawno już nie występował on z własnym koncertem.

Sądy. W warszawskim Sądzie Okręgowym rozgrywał się ostatni akt krwawej tragedyi, którą opłaciła życiem żona kontrolera tramwayów Strejowa. Jeden z morderców Wybrański skazany został na 15 lat ciężkich robót, drugi niewykryty, a trzeci Bętkowski stawał tylko w charakterze świadka, bo za kilka dni miał być stracony za inne zbrodnie w Prusach.

Proces Hentscha i Kraszewskiego rozpocznie się 18 maja.

Trzeci już student uniwersytetu krakowskiego p. Szalaj otrzymał stopień doktora praw *sub auspiciis imperatoris.* Ponieważ jest to zwykły śmiertelnik a nie żaden hrabia, niektóre pisma ograniczyły się na pobieżnej wzmiance, a inne nawet milczą zupełnie.

Prasa rosyjska. *Gazeta Gatcuka* otrzymała pierwsze ostrzeżenie za „niewątpliwie szkodliwy kierunek.“ *Sowr. Izwiestja* odzyskały odjęte im niedawno prawo sprzedaży pojedynczych numerów.

Prasa prowincyonalna. Redakcyę *Gazety lubelskiej* zastępczo na dwa lata objął od 1 kwietnia r. b. p. W. Dawid, b. redaktor *Wędrowca.*

Bibliografia polska. *Biblioteka najc. utw. lit. eur. Wybór pism* Kraszewskiego, *Komedya ludzka* Balzaca. Warszawa, Lewental.

— *Opowiadanie brata o rolnictwie,* dla ludu wiejskiego. Warszawa, Gejsztor.

Cło. Ministeryum finansów uchwaliło w zasadzie naznaczyć cło od maszyn i narzędzi rolniczych, sprowadzanych z zagranicy.

Senat skasował wyroki w sprawie Mielnickich i Swirydowa oraz udzielił sądom moskiewskiemu i kijowskiemu naganę za nieprawidłowe postawienie pytań.

Urzędy pocztowe i telegraficzne mają być zjednoczone. Połączenie jak donosi *Nowoje Wremia* odbędzie się stopniowo, zaczynając od instytucyj centralnych. Każda stacya telegraficzna związana zostanie z pocztową i na odwrót, tym sposobem liczba stacyj zwiększy się o 1500.

Projekty ekonomiczne. *Ruskij Kurjer* donosi, że wnioski i projekty generał gubernatora warszawskiego, mające na celu podniesienie dobrobytu włościan, zostały przyjęte i wkrótce będą wykonane. Gazeta nieokreśla jednak bliżej ich charakteru. Wiadomo tylko, że fundusz użyteczności publicznej obrócony będzie na pożyczki dla włościan i że zarządom gubernialnym do spraw włościańskich polecono już zebrać potrzebne wiadomości. Dla ożywienia przemysłu przeprowadzoną zostanie droga żelazna od Łodzi przez Kalisz do kolei wrocławskiej.

Kanalizacya Ministeryum spraw wewnętrznych wyznaczyło specyalną komisyę do rewizyi robót kanalizacyjnych w Warszawie.

Przymusowe nauczanie zaprowadzone ma być wkrótce w wschodnich powiatach gub. lubelskiej i siedleckiej. Jeżeli próba się powiedzie, przymusowa nauka ustanowioną zostanie w Królestwie.

Szkoły wiejskie. Ministeryum oświecenia uznało za pożyteczne zakładanie szkół tego rodzaju w Cesarstwie i Królestwie, ponieważ dają one możność kształcenia się młodzieży mieszczańskiej *odpowiednio do swego stanu.*

Nieporozumienie. Włościanie południowo - zachodnich gubernij, dowiedziawszy się o założeniu banków, wyobrazili sobie, że mają prawo kupować wszelką ziemię bez uwagi, czy właściciel chce ją sprzedać lub nie i że im dość wyrazić życzenie, żeby otrzymać z banku żądaną sumę pieniędzy. Generał-gubernator kijowski wydał z tego powodu cyrkularz, prostujący błędne mniemania, który ma być rozpowszechniony między ludem. *Nowoje Wremia* słusznie wątpi, czy środek ten przyniesie korzyść i twierdzi, że nawet *Sielskij Wiestnik,* wydawany specyalnie dla utrwalenia śród ludu właściwych poglądów, przyczynia się tylko do obałamucenia umysłów, bo włościanie, nie będąc w stanie zrozumieć wyrażeń urzędowego języka, tłomaczą je sobie według swoich chęci i pragnień.

Przemysł wiejski. Włościanie z okolic Warszawy wyrabiać zaczęli rolety z drzewa na wzór przywożonych z Cesarstwa. Pierwsze próbki udały się nieszczególnie, robota jest gruba, ale brak wprawy służyć może za usprawiedliwienie.

Prasa węgierska. W 1861 r. wychodziło zaledwie 52 pism w języku madziarskim, w 1870 — już 146, w 1880—368, w 1884—481, w tej liczbie 87 pism fachowych. Jeden dziennik wypada na 12,714 mówiących po węgiersku mieszkańców. W innych językach wychodzi 237 pism.

Statystyka jąkających się. We Francyi znajduje się dotkniętych tem kalectwem 116,000 a w Niemczech 90,000 osób. Dziwna rzecz, że kobiety stanowią zaledwie dziesiątą część jąkających się.

Statystyka. Ludność gubernii wileńskiej wynosiła z końcem 1883 r: 1,204,746 osób w tej liczbie litwini stanowią 40%, białorusini 33%, wielkorosyanie 2,6%, polacy 15%--resztę żydzi. Katolików jest 702,765, prawosławnych 376,700.

— Ludność katolicka Królestwa wynosi 5,311,000 głów.

Zmarli: G. Richter, znany malarz niemiecki, wyborny portrecista.

— Antoni Bronikowski, znany tłomacz dzieł starożytnych w Ostrowie (w Poznańskiem).

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. C. Ani odrobiny sensu. Niech Pan daremnie czasu i papieru nie traci. Bo co to jest?

Obsiądźmy stół w koło,
Nalejmy puhary
I pijmy śmiech! króla biesiady!
I pijmy pieśni! lasy! ogary!
I panny! Niebo! I sady!

To jest nic.

X. Y. Naprzód nie było mowy o tożsamości, lecz o różnicy w stopniach; powtóre zwierzętom nikt nie broni a ludziom prawa i obyczaje bronią; potrzecie niech Pani nie łudzi się wiarą w jednostronność upodobań człowieka. Są mężczyźni i kobiety tegoż gustu, co koty i kotki.

P. W. w Paryżu. Nie dla nas. Prosimy o adres dla odpowiedzi listownej.

OFIARY.

Dla studentek w Petersburgu. Zamiast składania wizyt w czasie świąt Adam Harusewicz z Łomży rs. 1; Xy. z Płocka rs. 6 kop. 50.

Na budowę domu sztuk pięknych. Z. J. rs. 5.

Na wpis dla uczniów. Pozostałe z lekcyi na ulicy Złotej rs. 1 kop. 50.

Sprostowanie. W nrze poprzednim *Prawdy,* str. 157, szp. 3, w. 9 od dołu zam. *kroku* czyt. *uroku.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Марта 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.